Nr. 52 (1459) Warszawa, 24 Grudnia 1908 r. Rok XXVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja Rysia 3. Telefon 73-80.

Przypominamy szanownym prenumeratorom o prenumeracie na rok 1909-ty.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Polacy w nowym departamencie

Pan B. K., petersburski korespondent *Kurjera Warszawskiego*, zaintrygował Warszawę szeregiem wyjaśnień, dotyczących roli naszych posłów w Dumie. Pierwszy jego artykuł w tej sprawie został niemal w całości przedrukowany w *Głosie Warszawskim* z notatką polecającą uwadze czytelników „bardzo słuszne słowa autora". Świadczyłoby to, że jednostki, które zarazem i Kołu i *Głosowi Warszawskiemu* nadawały kierunek, zapragnęłyby dziś wyjść poza najbliższe kółko i korzystając z donośnej Kurjerowej tuby rozpowszechnić w szerokich kołach czytelników pewne poglądy i nastroje, odpowiadające intencjom Koła.

Oto co w tej materji pisze p. B. K.:

„Duma nie jest — uchowaj Boże — żadnym parlamentem i śmiesznością byłoby coś podobnego przypuszczać. Dziś wszyscy już wiedzą, że Duma — to tylko „nowy departament", a jej członkowie to swego rodzaju urzędnicy, tym więcej, że już nawet wyznaczyli sobie pensje, a pod względem urlopów i innych warunków „służby" także zrównali się z innymi grupami biurokracji. „W tej Dumie walki praktycznej o konstytucją nikt już nie prowadzi" — pisze — a społeczeństwo rosyjskie „całkowicie we wszystkich swoich warstwach przestało liczyć na Dumę, jako na wyobrazicielkę woli powszechnej i źródło roztropnej ale szerokiej myśli państwowej".

Z tego wszystkiego wynika jednak ciekawe pytanie: Co w tym departamencie czynią „urzędnicy" Polacy? Jaka tam ich rola? jaka racja bytu?

Zdawaćby się mogło, że założenie pana B. K. musi doprowadzić do wniosków wprost zabójczych dla członków Koła polskiego. Wybrani bądź co bądź przez część społeczeństwa celem bronienia jego interesów, poszli — wraz z innymi w „służbę" na stałą pensją i całkowicie pogodzili się ze swoją nową rolą.

Śmiesznością byłoby — tłumaczy p. B. K. uważać ich za coś innego, narzucać im charakter jakiegoś przedstawicielstwa narodowego. „Rola taka byłaby widocznie nad ich siły" — twierdzi — i o dziwo! twierdzi to bez sarkazmu. Niema też cienia złośliwości w orzeczeniu dalszym, że ta rola „krępowałaby ruchy Koła ciągłymi względami na opinję krajową, która przecież inaczej musi traktować „przedstawicieli narodowych" od delegatów do spraw specjalnych i czego innego od nich wymagać".

„Być *chodatajem po dietam*, rzeczoznawcą, obrońcą spraw drugorzędnych, rzecznikiem spraw codziennych, a wyobrażać sobie, że się jest prawodawcą, głosem ludu, pełnomocnikiem narodowym, reformatorem historycznym — rzecz to gorsza niż złudzenie. Śmieszność zabija".

Tak tłumaczy korespondent *Kur. Warsz.* Koło polskie i sądzi, że je rzeczywiście uniewinnia.

Czy w takim razie polscy urzędnicy dumskiego departamentu nie czują, że pobierając wyżej określoną rolę, ośmieszają się i że ich ta śmieszność istotnie zabija?

Mylą się zresztą, jeśli sądzą, że pozbywając się niewygodnej roli przedstawicieli narodu, do której oczywiście nie dorośli, już się zupełnie zwalniają od odpowiedzialności przed opinją społeczną, odpowiedzialności, o której p. B. K. wspomina na innym miejscu, chcąc nią uzasadnić „ostrożność" Koła.

Rzucić magiczny i tajemniczy wyraz „ostrożność" w przekonaniu, że on wszystko tłumaczy — to nie dosyć. Trzebaby jeszcze wykazać, na czym się ona opiera, przed czym chroni? co zabezpiecza? Inaczej budzi się podejrzenie, że stosuje się ona wyłącznie do utrzymania „posady" i przywiązanej do niej „pensji". Dla naszych „chodatajów" to może wystarcza, ale dla społeczeństwa i jego opinji publicznej jest to prywatny i całkiem obojętny interes panów X. Y. Z. i nie można pozwolić na to, by ten brał górę nad interesem publicznym. Dawniejsze hasło: „bronić Dumy" spłaszczyło się i skurczyło do hasła: „bronić posłów"! — ale to wezwanie nie rozgrzeje nikogo.

Kadeci — jak informuje pan B. K. — postanowili poprzestać na „polityce zasadniczej" celem „wychowywania mas". Koło polskie czynić tego nie może skutkiem ciążącej na nim „odpowiedzialności".

Istotnie; ta właśnie rola byłaby nad jego siły i jego kwalifikacje. Trzeba do niej innych ludzi. Ci, co tam obecnie zasiadają, okazali już w czasie wyborów, jak źle wychowują masy. Całe szczęście, że masy już odwróciły się od nich i otrząsnęły z ich wpływu, więc ich ani wychowywać, ani demoralizować nie mogą. Posłowie polscy — wedle tego, co o nich pisze p. B. K. — obrali sobie rolę skromną, skromnusieńką i ta im odebraną nie będzie. Zamiast „przedstawicieli potrzeb narodowych" — staną się „przedstawicielami interesów zachowawczych społecznych" — czyli — co zresztą nieraz już zostało im dowiedzione — wstecznictwa miejscowego. Będą też stawali w obronie tylko „tych lub owych specjalnych żądań miejscowych".

Czy to będą „specjalne" żądania klas, grup, czy jednostek, o tym milczy kurjero-

wa Pytja — ale na wszystko udziela już w tych słowach rozgrzeszenia. Pod wyraz „specjalny" można równie dobrze podsunąć pojęcie *prywatny* czy *publiczny* a „fachowcy", „rzeczoznawcy", „chodataje po diełam", „zwolnieni od krępowania się opinją publiczną", będą w zupełnym porządku.

To się nazywa podobno dzisiaj „realizmem" politycznym. Dawniej nazywano to inaczej.

W drugim swym artykule stawia pan B. K. polską reprezentację „oko w oko" z taką alternatywą: „albo pójść za wołaniem syreny kadeckiej i nie krępując się względami na teraźniejszość nic jednocześnie nie robić dla przyszłości, (Bóg wie zresztą jak odległej) albo przystąpić do bloku centrowego, który, jak wiadomo, sam nie wie, dokąd dąży, żadnych zobowiązań na siebie nie bierze, żadnych rękojmi nie daje". „Polityka wolnej ręki kończy się widocznie w tej Dumie dla wszystkich frakcji—dodaje. — Wszystkie one stoją oko w oko z koniecznością ustalenia swej pozycji".

Widocznie „chęć ustalenia swej pozycji" skłoniła i Koło do wynurzeń, których echem są artykuły w *Kur. Warsz.* Maluczko — a dowiemy się, że wyboru dokonano i naturalnie pominąwszy „syrenę kadecką" przystąpiono do „bloku centrowego". Już sam ton, z jakim się pan B. K. odzywa o wszystkich bez wyjątku partjach opozycyjnych — świadczy, że nasi nie chcą z nimi mieć nic wspólnego. Są one—„jeśli słuszna wajdelotom wierzyć" — pośmiewiskiem całej Dumy, przedmiotem szyderstw ogólnych. Nic dziwnego; wszakże hasło do szyderstw daje zwykle pan Puryszkiewicz, którego prezes Dumy publicznie pocałunkami darzy. Czy Koło tak bardzo pragnie zdobyć szacunek pana Puryszkiewicza?

Śmiesznym i niepojętym jest dla pana B. K. ks. Trubeckoj, gdy mówi o przygotowywaniu „Dumy przyszłości" lub o tym, że po rozczarowaniu się do wszystkich sojuszów „opozycja będzie miała rozwiązane ręce". Jest to naturalnie punkt widzenia równie niedostępny dla Koła jak i dla jego obrońcy.

Nie może prowadzić polityki zasad partja bezprogramowa, nie może przygotować parlamentu przyszłości stronnictwo bez przyszłości.

Widziano wprawdzie w historji ludzi żyjących, działających i walczących dla przyszłości „Bóg wie jak dalekiej" dla idei, która ich przeżyć miała, — ale takich naturalnie w naszym Kole polskim niema.

Ono dba tylko o to, by w Dumie Puryszkiewiczów być dobrze traktowane. Dlatego milczy w sprawach drażliwych — nie interpeluje ani o szkoły polskie, ani o Macierz, Kursy dla analfabetów lub Uniwersytet dla Wszystkich, nie udziela podpisów pod interpelacją w sprawie postępowania ochrany warszawskiej z Zofją Owczarkówną, nie podnosi żadnej sprawy lokalnej, w ogólnych zajmuje stanowisko „sympatyczne" — t. j. możliwie jaknajbardziej prawomyślne, a drobne wnioski, np. o zwiększenie etatu naszych sądów gminnych — odrzucane przez większość — służą mu do stwierdzenia, że w obecnej Dumie — tak czy siak postępując nic osiągnąć nie można.

Jeżeli jednak Duma nic nie warta i wszystkie jej frakcje do niczego, to na cóż się zda i Koło polskie?

R.

Powtórna kanonizacja gilotyny.

Działo się to na schyłku XVIII-go wieku, w okresie rewolucyjnego szału który ogarnął zwycięski lud... francuski. Niewolnik skruszył więżące go kajdany, lecz zdemoralizowany odwieczną niewolą, zniepławiony do szpiku kości, w dziki sposób korzystał ze zdobytej wolności. Codzień upijał się krwią i codzień domagał się nowych jej potoków; zagrożony z zewnątrz przez reakcję, stał się podejrzliwym, manjakiem, węszył dokoła siebie wrogów i zdrajców, topił swą trwogę w morzu krwi.

Wówczas to kanonizowano gilotynę, uznano, ją za świętą, za chronicielkę ludu i jego wolności.

Okres ten jest tak ciemną kartą w dziejach Wielkiej Rewolucji, że wielu najszlachetniejszych przyjaciół ludu zwątpiło pod jego wpływem o samej idei wolności i ludowładztwa. Dziś, kiedy spoglądamy na krwawe to dzieło z odległości przeszło stu lat, nie możemy oczywiście bezwzględnie potępiać twórców rewolucyjnego terroru. Możemy i musimy potępiać ich dzieło, ale twórcom jego musimy wiele wybaczyć, pomnąc, że działali oni w dobrej wierze, byli pewni, że bronią sprawy ludu, tępiąc... jego przyjaciół.

Ale dziś rzecznicy gilotyny w parlamencie francuskim nie mogą powołać się na żadne okoliczności łagodzące. Nie wyrośli oni w mrocznych czasach niewolnictwa, ucisku i ciemnoty, lecz w okresie wolności, nie urodzili się, jako synowie despotycznego królestwa, lecz jako dzieci wolnej rzeczypospolitej. Wreszcie nie są oni ludźmi, opętanymi przez pewną ideję, nie są „illumines", jak Robespierre, lub Marat, lecz ludźmi trzeźwymi, posiadającymi ogładę kulturalną i naukową, mienią się „kwiatem społeczeństwa francuskiego".

A jednak, podobnie jak ich przodkowie z okresu Wielkiej Rewolucji, uznali oni gilotynę za świętą i nietykalną, za nienaruszalną podstawę sprawiedliwości ludzkiej.

Ta druga z rzędu kanonizacja gilotyny — w XX-ym wieku i w szczycącym się swym demokratyzmem przedstawicielstwie narodowym jest tymbardziej dziwna, że niedawno jeszcze, bo przed trzema laty, kiedy parlamentowi francuskiemu złożono projekt prawa, znoszącego karę śmierci, większość gotowa była projekt ten przyjąć niemal bez rozpraw. Lecz dziś pogląd większości uległ nagłej zmianie, i kara śmierci zostanie zachowana w prawodawstwie trzeciej Rzeczypospolitej.

Cóż więc oznacza ta zmiana? Wszak względy idejowe, przemawiające „za uśmierceniem kary śmierci" pozostały w swej mocy. I dziś kara sądowa jest ze strony społeczeństwa aktem samoobrony przeciw szkodliwym jednostkom, ma na celu obezwładnienie przestępcy, uniemożliwienie mu działania na niekorzyść ogółu. A wobec tego kara śmierci staje się zbytecznym i bezcelowym okrucieństwem, gdyż społeczeństwo może pozbawić życia tylko tych, których ma w swej mocy. A skoro ma kogoś w swej

---

Ignacy Mucha.

Z RAPORTEM.

(Dokończenie)

Była to propozycja jenerała przysłanego na rewizję z Petersburga, ażeby inspektor okręgowy wagony przeznaczone do ewakuacji rannych, a obecnie nieczynne, wypożyczył w celu zaprowiantowania Władywostoku, któremu groziło oblężenie.

Szelestow pobladł nagle, przyczym pergaminowa twarz jego nabrała koloru ziemistego, zerwał się z krzesła i zawołał:

— Ot, co jest! Oczekiwałem jakiegoś świństwa ze strony tego „modnego jenerała", ale że mnie, starego wygę, tak zręcznie podejdzie i nogę podstawi — tego nie przewidziałem. Gdy jechał tu na rewizję, czekałem na niego na granicy mego okręgu przez ośm dni w wagonie, zwołując codziennie wszystkich naczelnych lekarzy, żeby byli gotowi go przywitać. Nie mieliśmy ściśle oznaczonego terminu przyjazdu, lecz chcąc dogodzić naczalstwu, tłukłem się w wagonie ja, sześćdziesięcioletni starzec, a czekałem. Naraz przyjeżdża. Wystawiłem frontem wszystkich naczelnych lekarzy i zacząłem ich przedstawiać. A on:

— Przepraszam panów bardzo, że Was fatygowano. Bardzo przepraszam, lecz to nie moja wina. Nie sądziłem, że podczas wojny macie jeszcze tyle czasu na te ceremonje chińskie. I Wy — zwrócił się wprost do mnie — Ekscelencjo, ośm dni czekacie na mnie w wagonie, pozostawiwszy wszystkie sprawy, które wymagają załatwienia. A gdybym tak jeszcze dni kilka nie przyjechał?

— Czekałbym dalszych rozkazów lub łaskawego przyjazdu Waszej Ekscelencji — odrzekłem, oddając honory.

Pan jenerał niecierpliwie machnął ręką, zapytał mię o stan sanitarny armji, zapytał, czy są wolne wagony do ewakuacji chorych, a gdym potwierdził, wsiadł do wagonu, pożegnawszy mię zimno, lecz grzecznie. Znowu pomimo jego uwagi, ustawiłem naczelnych lekarzy frontem i sam salutując, czekałem odejścia pociągu. Znam ja Was, tych liberałów. Niby to nie zależy mu na honorach, krzyczą „dieło, dieło przede wszystkiem", lecz któż nie lubi zaszczytu. Nie żałowałem tego nigdy. Masłem kaszy nie zepsujesz! I ot masz tobie liberał. Obecnie zażądał odemnie wolnych wagonów, popisze się wobec Petersburga swą energiczną działalnością, a mnie jednocześnie oskarży o bezczynność, o niedołęstwo i nogę podstawi. Na dwa lata przed emeryturą wysadzi ze stanowiska!

Szybkimi krokami zaczął chodzić po pokoju i jakby do siebie mówił:

— Tak, tak, trudno! Samemu trzeba wszystko przewidzieć, wszystko zrobić! W kancelarji tłum, a każdyby tylko chciał sam skorzystać, siebie i swoich urządzić, a dogodzić, ulżyć naczelnikowi, nikt nie pomyśli! Jak głodne psy na kość, tak rzucają się na rządowe kasy! Poczekaj sobako, nie ugryziesz!

Bratnikow stał w niemej rozpaczy. W jednej chwili runęły wszystkie jego nadzieje. Trzeba będzie po skończeniu wojny bez rangi, bez posady wracać do starej nędzy. Nie uda się zabezpieczyć losu na starość ani sobie, ani bytu rodzinie. Na nic wszystkie upokorzenia, wszystkie przykrości, które

mocy, może obezwładnić go, uniemożliwić mu szkodzenie współobywatelom, nie uciekając się do zabójstwa. Z drugiej strony, jeżeli kara śmierci ma być hamulcem, powstrzymującym przestępców od krwawych wybryków, to celowi temu najzupełniej odpowiada również i kara dożywotnich ciężkich robót. Albowiem nie zlęknie się galer albo ten, kto liczy na bezkarność, sądzi, że uda mu się ukryć przed okiem sprawiedliwości, albo też ten, kto działa w zaślepieniu i szale, nieliczące się z żadnymi następstwami. Oczywiście żadnej z tych dwuch kategorji nie odstraszy widmo gilotyny, jeżeli nie przeraża ich zapowiedź śmierci za życia i długoletnich katuszy, jakimi są ciężkie roboty.

O cóż więc idzie? Dlaczego większość francuskiej Izby deputowanych tak energicznie domaga się zachowania w kodeksie kary śmierci, a nawet rozszerzenia jej na takie kategorje przestępstw, które dotychczas karano łagodniej? [1]).

Motywów zaciekłości tej szukać należy nie w pobudkach idejowych, które jak wykazaliśmy, przemawiają za zniesieniem kary śmierci, lecz w uczuciu, a raczej w instynkcie; kwestja zniesienia kary śmierci z dziedziny socjologji przeniosła się w dziedzinę psychologji. Uczuciem, które skłania deputowanych francuskich do tak uporczywej obrony św. gilotyny, jest żądza bezpośredniej zemsty. Instynkt zemsty — zarówno indywidualnej, jak i społecznej — nie zadawalnia się bowiem świadomością, że mordercę uczyniono na wieczne czasy nieszkodliwym, że nie będzie on mógł więcej popełniać zbrodni: instynkt ten domaga się krwi mordercy, jego głowy; to jest jedyne zadośćuczynienie za męki, poniesione przez ofiarę; tylko taką satysfakcję uznaje żądza zemsty. A wobec tego kara staje się jedynie aktem zemsty, pastwieniem się nad schwytanym winowajcą; sędziowie zaś stają się katami.

Aby przekonać się, że ten właśnie wzgląd kieruje zwolennikami gilotyny, wystarcza przypomnieć sobie genezę dzisiejszej agitacji za utrzymaniem w kodeksie kary śmierci. Asumpt do kampanji tej dała zbrodnia Soleillandu, który w okrutny sposób zamordował *a następnie* zgwałcił trzynastoletnią Martę Erbelding. Morderstwo dokonane na osobie słabego, bezbronnego i niewinnego dziecka poruszyło do głębi społeczeństwo francuskie, przejęło je głębokim współczuciem dla ofiary. A współczucie dla ofiary, wskutek specjalnej psychologji tłumów, musiało z natury rzeczy przedzierzgnąć się w zaciekłość przeciw mordercy, w chęć pomszczenia hańby i męki nieszczęsnego dziecka. Tłum nie rozumuje: nie zastanawiano się więc nad tym, że człowiek, odczuwający pociąg ku trzynastoletniemu dziecku, człowiek, który jest w stanie spółkować z trupem, tymsamym już dowodzi, że jest anormalnym. Zażądano głowy mordercy i przedstawiciele tłumu, usadowieni w sali sądowej w charakterze przysięgłych, jednogłośnie wydali wyrok śmierci. Ale wykonaniu wyroku stanęła na przeszkodzie wola prezydenta Fallières'a, który nie utracił zimnej krwi wśród ogólnego rozjątrzenia i, jako przeciwnik kary śmierci, Soleillandu ułaskawił.

Jak łatwo było przewidzieć, nienasycona żądza zemsty wylała się w potokach... błota. Tłum oraz hołdująca mu prasa brukowa nie mogła nic podołać przeciw woli prezydenta, mogła natomiast obrzucić go błotem. Tak się też stało. Oburzenie przeciw człowiekowi, który ośmielił się odebrać tłumowi ofiarę, na którą czyhała mściwość tłuszczy, przybrało monstrualne wprost formy. Lżono go w prasie, lżono, choć w nieco przyzwoitszej formie, w salach sądowych.

Nawet kabarety stały się przytułkiem uciśnionej cnoty obywatelskiej i z estrady zaprotestowano w odpowiedniej, to znaczy płasko-brutalnej formie przeciw ułaskawie[illegible].

Od tego właśnie czasu datuje obecna agitacja za utrzymaniem i bezlitosnym stosowaniem kary śmierci. Agitacja ta, podsycona kilku innymi, również lub bardziej jeszcze monstrualnymi zbrodniami, trwała do dziś i wreszcie uwieńczona została powodzeniem. Większość parlamentarna, niedawno jeszcze przychylna „abolicjonistom”, obecnie radykalnie zmieniła swój pogląd.

Fakt to wielce znamienny i wielce smutny, charakteryzuje on bowiem istotę parlamentaryzmu francuskiego, rzuca nań niezbyt pochlebne światło. Albowiem tłumowi wolno ulegać przelotnym nastrojom; istotą jego psychologji jest ciągła zmienność oraz nadmierna wrażliwość na wszelkie pobudki zewnętrzne. Natomiast przedstawicielstwo, składające się z ludzi światłych, ludzi idei, powinno stać na stanowisku wyższym — idejowym. Jemu nie wolno podlegać nastrojom chwili, nie wolno kierować się przelotnym, kaprysem żądnego krwi i zemsty tłumu. Przeciwnie, obowiązkiem jego jest rozumieć, że dogadzając krwiożerczym instynktom i mściwości mas, tym samym podnieca ono podobne instynkty, zapewnia ich rozrost.

To też, ulegając temu, co brukowa prasa darzy szumną nazwą „opinji publicznej”, lecz co w gruncie rzeczy jest li tylko okrzykiem bestji ludzkiej, radykali z parlamentu francuskiego dowiedli, że demokratyzm ich jest demokratyzmem schlebiających tłumowi Kleonów, nie zaś demokratyzmem idejowców, kształcących i wychowujących masy, łagodzących ich krwiożercze instynkty.

Jerzy Hazarski.

[1]) Mamy tu na myśli projekt prawa, wniesiony przez posła Berry, a ustanawiający karę śmierci nawet za zabójstwo bez premedytacji, uchwalony 8-go grudnia przez izbę.

Nasza embryologja polityczna na Rusi.

„Patrum invalidi referunt
jejunia nati”. *Bacon.*

Stanowisko Polaków zamieszkałych na Rusi dotychczas ostatecznie nie ustaliło się pod względem polityczno-społecznym. Istnieje kilka kierunków i barw socjologicznych, które tu zamierzam scharakteryzować najogólniej.

Jedni wyznają wyłożone ongi przez Włodzimierza Antonowicza i Tad. Rylskiego credo, w którym o interesach politycznych Polaków na kresach — mowy nie było. Element polski w ich rozumieniu nie miał ani żadnej roli do odegrania na Rusi, ani przyszłości; — skazany był na rozpłynięcie się w żywiole miejscowym. A sam Antonowicz zerwał był nie tylko z polskością etniczną ale też i z wyznaniem katolickim — w myśl swego programu.

Kierunek ten niegdyś bardzo rozwinięty pod nazwą *chłopomanji*, cieszący się szczególnie wielkim wpływem wśród młodzieży, obecnie podupadł znacznie i zeszedł do nic nie znaczących rozmiarów, głównie z powodu wygórowania radykalnych antypolskich tendencji ukrainizmu galicyjskiego, przedzierającego się powoli i stopniowo na Ukrainę.

Inni uznają, że społeczeństwo polskie na Rusi stanowi mniejszość,—jednakże mniejszość poważną i liczebnie i kulturalnie, wobec czego nie mają siebie za przybyszów i kolonistów tej ziemi — uznają się za pra-

znosił. Pot kroplami spływał mu z czoła. Brudną czerwoną chustką ocierał twarz i, przestępując z nogi na nogę, trzęsąc się ze strachu, myślał biedny Paweł Borysowicz już tylko o tym, jakby się wydostać z gabinetu szefa, nim zostanie zwymyślany i wyrzucony. Wtem myśl jakaś błysnęła mu w głowie, gdyż wyprostował się i rzekł nieśmiało:

— Wasza Ekscelencjo, pozwólcie sobie zakomunikować, zdaje mi się, żem znalazł sposób...

— Wy, Pawle Borysowiczu?! — z ironicznym uśmiechem rzekł Szelestow.

— Tak jest, Ekscelencjo. Tydzień już minął od przejazdu jenerała i jego zawiadomienia o wolnych wagonach. Obecnie Wasza Ekscelencja wyda rozkaz, żeby wagony zużyć do tranzlokacji chorych ze wszystkich szpitali na linji. Zużyjemy w ten sposób wszystkie wagony i wolnych nie będzie!

— Jakto teraz, gdy mam już papier nakazujący mi użyć wagonów do zaprowiantowania fortecy?

— To nie, Ekscelencjo. Wasz rozkaz o użyciu wagonów do tranzlokacji chorych można opatrzyć datą wcześniejszą o kilka dni i polecenie wydać na moje imię. Jednocześnie zechcecie wyrazić mi ostrą naganę z datą wczorajszą za niewypełnienie rozkazu. Dziś telegraficznie można uruchomić wszystkie wagony i unicestwić plany jenerała.

Szelestow zaczął wolniej chodzić po pokoju, uważnie przyjrzał się Bratnikowowi, przystanął, uśmiechnął się, wreszcie śmiech gruby i szorstki rozległ się w pokoju.

— Nu, mołodziec! mołodziec!

Bratnikow zaczerwieniony i uradowany wysunął się z gabinetu.

Nazajutrz na całej linji, łączącej Chabarowsk z Władywostokiem, zapanował ruch niezwykły. Zbudzeni depeszą o szóstej z rana lekarze dyżurni, przecierając zaspane oczy, wyprawili chorych ze Spaska do Imani, z Nikolska do Chabarowska, z Chabarowska do Spaska. Chorzy wyprawieni wczoraj w jednym wracali nazajutrz w odwrotnym kierunku.

Turkot wagonów, jęki chorych, krzyki naczalstwa, gorączkowa działalność intendentów, pisarzy, słowem całego sztabu służby medyczno-wojennej pozwalały sądzić że stało się coś niezwykłego. Nieszczęśliwi chorzy budzeni wcześnie jednego dnia i wyprawiani nazajutrz z powrotem ze szpitala do szpitala, wodzili po sobie ze zdumionymi oczyma, jakby pytając „poco to?”

A tam, w tym ognisku, które wprowadziło wszystkich w ruch gorączkowy, w gabinecie kancelarji okręgu medycznego przechadzał się miarowym krokiem pan inspektor i uśmiechając się, mruczał: „wot tiebie i wagony! nie udałoś swinju podłożyt'”.

System tryumfował. We Władywostoku daremnie oczekiwano na wagony z powrotem.

W kilka tygodni po tym pisarze okręgu ku wielkiemu zdumieniu wysyłali do Petersburga papiery niedawno zgromionego za opieszałość Bratnikowa, którego „dla dobra służby” polecono zamianować na stałą posadę lekarza wojennego z wyższą rangą i pensją.

wych jej obywateli, i z całą świadomością oświadczają, że pragną służyć wiernie jej interesom na równi z innymi jej mieszkańcami, broniąc wszędzie, gdzie wypadnie, ich praw zarówno jak i swoich. Dążą oni do zapewnienia całej ludności pełni praw człowieka i obywatela; zasadniczo odrzucają podział narodowości w tym samym kraju osiedlonych na uprzywilejowane i upośledzone, stojąc na gruncie zupełnego równouprawnienia wszystkich narodowości i żądając autonomji dla Ukrainy.

Z powodu tej grupy jest do zaznaczenia pewna okoliczność: postępowcy kresowi tak dalece zbliżają się do dążności samych Ukraińców, że stosunkowo zacierają swoją barwę narodową i przez to samo nadają kierunkom rosyjskim państwowym, stokroć większą i silniejszą wyrazistość. Gdyby warunki rozwoju narodowości ukraińskiej były zupełnie pewne i zagwarantowane, postępowcy polscy byliby najlepszymi pośrednikami, przy utworzeniu węzłów zażyłości z polskością. Dziś poniekąd wzmagają się ciosy rusyfikacyjne, które zamiast spadać na dwie strony — (polską i rusińską) spadają na jedną (polsko-rusińską).

Są wreszcie i tacy, którzy uważają, że Polacy osiedli na Rusi, w poczuciu swojej jedności z całością narodu polskiego, z jego kulturą i zadaniami, uznają potrzebę organizowania swoich sił, w celu obrony własnych interesów i wywalczenia takich warunków bytu politycznego, aby zapewnić sobie wszechstronny rozwój narodowo-kulturalny. W tym celu usiłują obudzić świadomość narodową we wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego, zespolić je i natchnąć jedną myślą i uczuciem, wytworzyć silną opinję publiczną, od ubocznych wpływów niezależną i zniewalającą do solidarnego działania, chociażby z poniesieniem pewnych ofiar dla dobra swego narodu i kraju rodzinnego, a przedewszystkim, do wznoszenia się na każdym polu pracy na takie wyżyny doskonałości kulturalnej i moralnej, ażeby móc rozsiewać promienie cywilizacji wśród otoczenia. Za zasadę naczelną swego programu politycznego — przyjmują obronę żywotnych interesów narodu polskiego wogóle, i w szczególności tej części jego, która mieszka na Rusi. Wierni tradycji historycznej, zachowują jedność duchową i łączność z Królestwem Polskim, dążąc do zabezpieczenia sobie przyszłości w tym kraju.

Jakkolwiek trzecia ta grupa, ulega z powodu zarówno swoich zachcianek i zabiegów polonizacyjnych jako też i swoich zasadniczych powinowactw z endecją warszawską — wielkiej krytyce i najczęściej zasłużonej, — to jednak zwracam tu uwagę, że stanowisko jej na Rusi mogłoby przedewszystkim być pożyteczne dla autonomistów rusińskich dlatego, że odciągałoby ich dążności od zbytniego przechylania się na stronę wschodnią.

Narodowości młode, kształtujące się — nieodzownie potrzebują *życiowych* przykładów; o ile ich nie znajdują od zachodu, z konieczności zwracają się ku wschodowi. Nasze zanikanie lub zacieranie się przeważa szalę wpływów postronnych — na naszą i rusińską niekorzyść.

Z przeszłości samej wiadomo, że element polski wpływał tu na Rusi, na wyrobienie cech odrębności rusinizmu od wspólnoty państwowej. Odbiło się to na języku obyczaju, prawie, stosunkach domowego bytu; odbije się z pewnością w przyszłości na polityce.

Co do grupy czwartej, tak zwanych „krajowców", za kłopotliwą jest rzeczą mówić o niej cośkolwiek. Przed rokiem narobili oni sporo hałasu, z powodu swego programu. Od czasu jednak, jak na zjazdach wspólnych z ziemiaństwem rosyjskim, położyli nacisk zbyt wielki, niemal wyłącznie, na potrzebę okazania poparcia rządowi w wyplenianiu zarodów wszelkiego postępu i rewolucjonizmu społecznego — najzupełniej upadli w opinji publicznej, i nietylko w rozmowach prywatnych, ale i w inkryminacjach publicznych uchodzą słusznie za rodzaj protektorów żandarmerji w wyższym stylu.

Jest to tym przykrzejsze, że w przeszłości szlachta polska na Rusi nie ograniczała swego posłannictwa wyłącznie do ścigania i tępienia burzycieli in spe.

Tad. Mich.

Przemiany w stronnictwie ludowym.

Już w czasie ostatnich wyborów sejmowych można było zauważyć, że kierownictwo stronnictwa ludowego zmieniło taktykę działania, że w obozie ludowców jakieś nowe prądy i kierunki wywierają decydujący wpływ. Zmiany te przyjęła postępowa i demokratyczna część społeczeństwa z wielką rezerwą, nie chciano bowiem wierzyć, aby stronnictwo szczerze demokratyczne, które swój wzrost i dzisiejszą siłę zawdzięcza tylko swoim radykalnym hasłom, obecnie przekreśliło swoją przeszłość i na nowe tory sprowadziło bieg polityki ludowej. Nieprawdopodobieństwo zwrotu na prawo potwierdziły uchwały ostatniego kongresu ludowców, który najkategoryczniej się wypowiedział, za jaknajenergiczniejszym przeprowadzeniem demokratycznych reform w kraju i państwie. Dopiero ostatnie sesje sejmowe i dyskusja programowa na temat pism tego stronnictwa potwierdziła te nieprawdopodobne obawy. Przez usta przywódcy p. Stapińskiego oznajmiono społeczeństwu, że został zawarty układ z konserwatystami, którego następstwem jest wspólne obu tym kierunkom hasło: „Wspólność interesu wielkich i małych rolników", Walka prowadzona dotąd z konserwatystami ustała, przy wyborach sejmowych drogą kompromisu podzielono się mandatami i odtąd datuje się pokojowe pożycie zwalczających się dotąd obozów.

W pamiętnej mowie programowej Stapińskiego, wygłoszonej w sejmie, oznajmił ten trybun ludowy, że zawarł pokój z klerykalizmem i że przyłączył się do konserwatystów.

Dotychczasowa działalność stron. ludow. skierowaną była przedewszystkim przeciwko klerykalizmowi i dziś stwierdzić musimy, że ludowcy położyli podwaliny; pod ich wpływem wieś wyemancypowała się z pod wpływów klerykalizmu. Dzięki ludowcom dziś ma przystęp do wsi książka popularna niosąca prawdziwe światło wiedzy. Dziś dzięki demokratycznej działalności ludowców, wieś galicyjska żyje, obudziła się z uśpienia, podtrzymywanego wpływami kleru. Dziś wieś jest ważnym czynnikiem w życiu społeczeństwa.

Ludowców zasługą jest także, że chłop wyrwał się z pod wpływu wielkiej własności rolnej, że skończył się pańszczyźniany stosunek chłopa do pana. Chłop zaczął żyć, życiem własnym, zrozumiał potrzebę kultury i do niej zbiorowo się zwrócił.

Przypomnieć należy, że początek działalności ludowców przypada na czasy, kiedy na wsi obok księdza i wielkiego właściciela nie było nikogo i nic; była pustynia, bo chłop był tylko stworzeniem roboczym i poza pługiem i cepami widział i znał tylko księdza.

Ludowcy dokonali epokowego dzieła, oni wnieśli promień światła w nieprzystępne dla nikogo krainy.

Wyrwać chłopa z pod wpływów klerykalnych i konserwatywnych i dać mu w zamian jego własne życie, oto dzieło, które kosztowało dziesiątki lat pracy, pracy zmudnej i ciężkiej. W ostatnich dziesiątkach lat rozgrywała się we wsi galicyjskiej tytaniczna walka. Władza polityczna konserwatystów, klątwy kościelne, oto wszystko, co stanęło do walki ze stronnictwem ludowym. Działacze jego byli ścigani przez władze administracyjne, a z ambon padały klątwy na pisma i ich pracowników. Jeszcze do dziś zakaz kościelny czytania organu Stapińskiego istnieje w niektórych djecezjach

Kto zna konserwatywne usposobienie wsi, kto miał do czynienia ze znaczeniem księdza dla włościan, ten zrozumie, jak nieocenionego dzieła dokonano. Działalność księdza ogranicza się do spraw religijnych, a wpływ wielkiego właściciela kończy się dziś na granicy jego posiadłości.

Aby tego dokonać, aby zwalczyć tak wielkie potęgi, musiały być ofiary, bo były też i prześladowania. Niema dziś prawie jednej wsi w Galicji, w którejby nie było prześladowanych za należenie do stronnictwa ludowego. Dziś cała Galicja zasiana jest świadkami tej zaciekłej walki.

Ludowcy przeprowadzili tę walkę zwycięsko, stali się potężnym stronnictwem i obecnie dochodzą do objęcia kierownictwa gospodarki w kraju. W tej rozstrzygającej chwili Stapiński korzy się przed klerem, prosi o przebaczenie, że zbłądził i otrzymuje rozgrzeszenie; następnie zawiera sojusz z konserwatystami i wycofuje popularne dziś na wsi hasło, że interes chłopa przeczy interesom wielkiego posiadacza, na odnowionym zaś godle wypisuje: „Rolnicy wszelkich stanów łączcie się".

Ta radykalna zmiana frontu naturalnie musiała silnym echem odbić się po wsiach, musiała wywołać reakcję u inteligiencji wiernej dawnym hasłom. Dziś wieś nie może zrozumieć, aby to, o czym od całego szeregu lat słyszała, że jest złym, dziś dobrym stać się mogło. Wieś nie chce pójść za swym dotychczasowym przywódcą, bo nie widzi przyczyny tej nagłej zmiany. Chłop wreszcie zżył się już z hasłami postępu, wszedł na drogę żądań demokratycznych i nie chce się cofnąć do konserwatyzmu. Stąd pochodzi z każdym dniem rosnąca opozycja, niezadowolenie, które wcześniej czy później doprowadzić musi do rozłamu. Dziś już jesteśmy świadkami scen, które dowodzą, że różnice między dawnym i nowym kierunkiem coraz silniej się zarysowują; wieś wyraża coraz głośniej swe niezadowolenie i na zgromadzeniach zapadają uchwały energicznie protestujące przeciwko nowemu kursowi.

Przywódca Stapiński, człowiek o niewielkim wykształceniu, nie był nigdy człowiekiem idei, ale tylko praktycznym agitatorem. Dla niego nie hasło zdemokratyzowania wsi było promotorem działalności; jemu chodziło o liczebny wzrost stronnictwa i o materjalne podniesienie chłopa reszta była dla niego obojętną. Dla dopięcia jednak tych celów, jako środka, użył programu demokratycznego. Skoro dziś konserwatyści nęcą go obietnicami materjalnej natury, nie waha się zerwać z przeszłością. Zachodzi jednak pytanie, czy jego zwolennicy także w ten sposób pojmowali działalność stronnictwa. To dopiero okaże przyszłość.

Sz.

Walka z dziećmi.

Główny urząd lekarski w Petersburgu wydał polecenie lokalnym komitetom lekarskim, by nie pozwalały na drukowanie ogłoszeń o prezerwatywach.

Sprawa ta ma podkład głębszy, główny urząd lekarski bowiem, przez zakaz drukowania ogłoszeń o środkach zapobiegawczych, pośrednio wystąpił przeciwko sztucznemu ograniczaniu ilości dzieci w rodzinie, ograniczaniu, które stało się zjawiskiem powszechnym w Europie.

Przed kilkoma laty pewne pismo amerykańskie obiecało premjum temu, kto najdokładniej określi, czym jest dziecko? Nagrodę dostał pewien dowcipniś, który napisał:

— Dziecko jest jedynym szczęściem, którego nikt nie zazdrości.

Jest to, naturalnie, dowcip i jako taki nie zupełnie odpowiada rzeczywistości. Są bezdzietni małżonkowie, którzy pragną namiętnie mieć dzieci. W każdym jednak razie dowcip ten wiernie oddaje panujący w społeczeństwach cywilizowanych prąd ku ograniczaniu ilości dzieci. Ze prąd ten nie tylko niesłabnie, ale się potęguje, — świadczy fakt, że z roku na rok wzrasta ilość małżeństw bezdzietnych lub posiadających jedno dziecko.

Jest to zjawisko ogromnej doniosłości, społeczne znaczenie zjawiska tego nie zostało jeszcze dokładnie ocenione. Gazety upstrzone są ogłoszeniami o najróżnorodniejszych prezerwatywach; rozwinęła się specjalnie gałęź przemysłu „ochronnego". Powstała odpowiednia przedmiotowi literatura. Wśród socjalnych demokratów niemieckich rozchodzi się w ogromnej ilości egzemplarzy broszura doktora Brunbachera, w której to broszurze autor zaleca każdej zamężnej robotnicy, by korzystała z środków ochronnych.

Brunbacher dowodzi, że powtórny poród niszczy organizm kobiety-robotnicy, która przez cały czas brzemienności musi wiele pracować i źle się odżywia. Statystyka twierdzi, że kobiety robotnice, które często rodzą, szybko tracą młodość i zdrowie.

Nie dość na tym: stronnicy środków ochronnych uważają je nie tylko za „ochronę kobiet", ale i za „ochronę dzieci".

Dane statystyczne stwierdzają, że, w rodzinach mających wiele dzieci, śmiertelność jest znacznie wyższa niż w rodzinach o małej ilości dzieci. Bardzo ciekawe dane w tej materji zawiera referat doktora Hamburgera, wygłoszony na jednym z ostatnich zgromadzeń „Związku ochrony matek w Berlinie".

Hamburger zbadał 1,042 zdrowe matki, których mężowie należą do klasy niezamożnej ludności Berlina. Te 1,042 kobiety przeszły 7,261 porodów, a więc przeciętnie 7 porodów każda. Podział ten jednak jest bardzo nie równomierny: 34 kobiety miały po 1 dziecku, 71 po dwoje, 93 po troje, 101 po czworo, 133 po pięcioro, 69 miały od 13 do 15 dzieci, 30 z górą 15. Z dzieci tych więcej niż połowa — 3,677 zmarła przed 16 rokiem życia, a więc przysporzyły one rodzidzinie więcej zgryzoty, niż radości.

Umierały dzieci przeważnie w rodzinach mających wiele dzieci.

W rodzinach mających jedno dziecko, z 34 noworodków pozostało przy życiu 26 (75%): w rodzinach mających dwoje dzieci z 279 dzieci pozostało przy życiu 191 (76%); tymczasem w rodzinach obarczonych ośmiorgiem dzieci z 736 noworodków pozostało przy życiu tylko 357 (49%), w rodzinach, obarczonych dziesięciorgiem dzieci, z 520 dzieci pozostało przy życiu tylko 324 (45%), w rodzinach zaś mających po 15 i więcej dzieci, pozostawało przy życiu zaledwie 31%. Równocześnie z ankietą wśród kobiet biednych klas, Hamburger przedsięwziął gromadzenie danych dotyczących klas zamożnych. Okazuje się, że ilość porodów u kobiet zamożnych jest dwa razy mniejsza, niż u kobiet biednych.

Co się tyczy śmiertelności dzieci, to w rodzinach zamożnych jest ona prawie trzy razy mniejsza, niż w rodzinach biednych.

Na zasadzie tych wszystkich danych, Hamburger przyszedł do wniosku, że rodzinom robotniczym zalecać należy dobrowolne ograniczenie ilości dzieci.

Myśl tę związek ochrony matek przyjął z gorącym uznaniem.

Tym sposobem jawnie zaaprobowano to, co oddawna już jest praktykowane w rodzinach wszystkich klas społecznych, szczególniej zaś wśród robotników. Jak bardzo robotnicy niemieccy, naprzykład, obstają przy zasadzie powyższej, świadczy fakt, że chociaż sam Bebel występował przeciwko ograniczaniu ilości dzieci w rodzinach, wystąpienia jego jednak żadnego nie wywarły wpływu. Wystąpienia Bebla miały tylko ten skutek, że w gazetach socjal-demokratycznych zaczęto prezerwatywy ogłaszać pod nazwą „środków higjenicznych", „każdemu niezbędnych" i t. p.

Wszystko cośmy przytoczyli wyżej nie dowodzi jednak, aby sprawa stosowania teorji Malthusa była rzeczą tak bezspornie użyteczną, z pozoru jak się wydawać może. Nie należy zapominać, że podstawą popędu płciowego kobiety jest bezwątpienia chęć zostania matką.

Dowodzi tego prof. August Forel, który w dziele swym „Zagadnienia seksualne" umieszcza list młodej dziewczyny, piszącej pomiędzy innymi, co następuje:

— Zdaje mi się, że czynnik czystej zmysłowości w małżeństwie nie gra dla dziewczyn wielkiej roli i że chętnie zgodziłybyśmy się mieć dzieci innym sposobem, niż chce natura.

Brzemienność dla wielu kobiet nie jest ciężarem, lecz radością, więc też ochrona kobiet zwrócić powinna swe usiłowania nie w kierunku uchronienia jej przed rodzeniem, lecz w kierunku zapewnienia jej wygód podczas słabości i umożliwienia jej porzucenia pracy na odpowiedni czas przed i po porodzie.

(Sprawę tę prawodawstwo włoskie załatwiło przez obowiązkowe ubezpieczanie macierzyństwa; u nas prawodawstwo zupełnie tę sprawę przemilcza, a charakterystyczną jest rzeczą, że podczas przeszacowania warunków pracy w r. 1905, robotnicy nigdzie nie stawiali żądania zabezpieczenia macierzyństwa).

Jest rzeczą niewątpliwą, że dające się zauważyć żywiołowe poprostu dążenie do ograniczenia ilości dzieci, wywołane jest coraz trudniejszymi warunkami bytu i jedynie złagodzenie ostrej niepewności jutra może być skutecznym odczynnikiem przeciwko rozpowszechnieniu prezerwatyw. Środki policyjne, proponowane przez zarząd lekarski, nic tu nie pomogą.

P. W.

NA DOBIE.

Z sali odczytowej.

(Wykłady Świętochowskiego).

I.

Śród powodzi odczytów, które w ostatnich czasach stały się strawą codzienną Warszawian, wykłady Świętochowskiego wyróżniają się dodatnio zarówno jednością treści, jak i starannością opracowania oraz kunsztowną swą formą. Wprawdzie treści pożywnej dla swych odczytów zaczerpnął Świętochowski aż ze świata starożytnego, tyloma jednak nićmi połączył go z teraźniejszością, że ożywił bardzo tę starożytność i wykłady swe uczynił prawie współczesnymi. Wyłożył w nich wyniki swych 30-letnich przeszło badań nad dziejami etyki, pod którą pierwszy u nas, jeszcze jako autor cennej rozprawy „O powstawaniu praw moralnych", założył trwałe, prawdziwie naukowe, fundamenty.

Polegają one na odrzuceniu wszelkich aprjorycznych pomysłów, dzięki którym pod etyką rozumiano dotychczas higjenę moralną, nakaz prawny lub religijny albo wreszcie napomnienie kaznodziejskie, i na oparciu etyki na gruncie własnym, na badaniu praw rządzących stosunkami moralnego rozwoju ludzkości. Sprowadzona na takie stanowisko etyka przestaje być u Świętochowskiego częścią starej rozprawiającej o wszystkim filozofji a staje się umiejętnością odrębną, której Świętochowski nadaje miano etologji.

Wychodząc z tego założenia, w pierwszych swych sześciu odczytach rozważył Świętochowski rozwój pojęć etycznych w Grecji, tej Grecji klasycznej, która po dziś dzień uchodzić zwykła za źródło wszystkiego, co myśl ludzką zaprzątać może. Rozwój ten szanowny prelegient zawsze ściśle łączył z panującymi wówczas stosunkami społecznymi, które słusznie uważa za podłoże właściwe zjawisk etycznych.

Wyzwoliwszy się nieco z teologji Homera i Hezjoda, Grecy zwrócili się najpierw do świata otaczającego i zatopili całą swą uwagę w zagadkach kosmogonicznych, rzadko wypowiadając się w kwestjach moralnych. To też Tales, Anaximander, a nawet Pytagoras, Xenofanes i Heraklit mało dorzucili, zdaniem Świętochowskiego, pojęć postępowych do ubogiego skarbca pierwotnej filozofji moralnej greckiej.

Na wyższy poziom rozwoju pchnęli etykę grecką dopiero sofiści, których nasz etolog oczyszcza od licznych a niesłusznych zarzutów i ceni nader wysoko. Znaczenie ich w dziejach etyki widzi Świętochowski w tym, że głęboko podkopali wiarę naiwną w autorytety, że przyczynili się do spopularyzowania krytycyzmu w teorji poznania, że wywrócili wreszcie dawniejsze pojęcia religijne i zaprzeczyli stanowczo istnieniu jakiejkolwiek niezmiennej i stałej etyki.

Wszak prawdziwą rewolucję w umysłach musiał wywołać Protagoras głosząc publicznie „o bogach nic nie umiem powiedzieć, ani że są, ani że ich niema, bo wiele jest przyczyn, dla których wiedzieć tego nie można, zwłaszcza ze względu na niepewność rzeczy i krótkość ludzkiego żywota".

Albo tak charakterystyczne i głębokie zdanie tegoż sofisty, jak że „człowiek jest miarą wszystkich rzeczy i istniejących, że są, i nieistniejących, że nie są", które to zdanie stało się wykładnią całej filozofji Protagorasa i oznacza, że każda rzecz o tyle tylko istnieje, o ile ją sobie człowiek wyobraża, że niema nic stałego, że świat zewnętrzny to wielka rzeka, w której rzecz każda rozpływa się lub zlewa bezustannie z drugą. W przeniesieniu do etyki zasada ta znaczy, że moralność nie jest jedna, lecz stanowi zmienny wytwór naszych uczuć i myśli.

Kiedy zaś Prodykus oświadczył, że bogowie są wymysłem ludzkim, a najczęściej symbolami, przez które ludzie wyrażają rzeczy w życiu najbardziej przydatne, jak np. Cerera — chleb, Bacchus — wino i t. d. powaga Olympu poważnie zachwiana została i w umysły ludzkie rzucono nasiona niewątpliwego etycznego postępu. Pod tym względem sofiści, zdaniem Świętochowskiego, dokonali znacznie więcej od swych wielkich następców, Sokratesa i Platona.

Twórca etyki eudemonistyczno-utylitarnej, Sokrates, pomimo wielkiej roli, jaką odgrywa w dziejach filozofji, mało przyczynił się do podniesienia poziomu pojęć etycznych w Grecji. To też Świętochowski, przyznawszy wielkie znaczenie Sokratesowi, jako niezrównanemu kaznodziei i moraliście, który czynem i słowem, życiem swym i śmiercią służył za wzór etyczny społeczeństwu, nie uznaje go jednak jako teoretycznego badacza, zarzucając mu słusznie, iż niedostrzegał, że rozum nie zawsze wystarcza człowiekowi, że celowość widział w poddaństwie ludu i uciemiężeniu kobiety,i daje mu miano „etycznego rewolucjonisty wstecz".

Równie silną opozycję, jak sofiści, wywołali w dziedzinie etycznej w Grecji dopiero cynicy. Gdy Sokrates uważał cnotę za wiedzę, oni widzieli w niej czyn. Usiłowali jaknajbardziej uniezależnić się nazewnątrz i żyć zgodnie z naturą. Dla tych przyczyn pierwsi w starożytności ogłosili niewolnictwo za niesprawiedliwość krzyczącą. Budzili obojętność dla życia państwowego, nie zapalali się do żadnego ustroju, uważając za ojczyznę swą świat cały a jednocześnie występowali sarkastycznie względem wielości bogów. Ta ich tendencja kosmopolityczna i gorąca obrona praw człowieka zapewniły im poczesne miejsce w historji etyki.

Inaczej Platon. Ten najgienjalniejszy uczeń Sokratesa, duch-olbrzym, z którego idejami tak zrosła się cała nasza kultura duchowa, odegrał w rozwoju etyki, zdaniem Świętochowskiego, smutną rolę jej poskromiciela przez wysunięcie na plan pierwszy nakazów etycznych państwowych.

Państwo Platona utwierdza w dalszym ciągu niesprawiedliwy podział na klasy, rządzącą i podległą, niweluje wszystko, znosząc rodzinę i własność i z człowieka czyni pojedyńczą, bierną komórkę państwową. Strukturą swą przypomina dosadnie znane nam z dziejów nowożytnych smutnej pamięci państwo policyjne, reglementujące surowo każdy krok obywatela nawet w życiu prywatnym. Wprawdzie, w latach sędziwych, podniósszy ponownie problemat moralno-państwowy w „Prawach", nieco złagodził Platon swe poprzednie zasady etyczne, przyznał już pewien udział uczuć w moralności,o klasie pracującej wyrażał się z mniejszą pogardą a małżeństwo uznał, za obowiązkowe, jednakże wogóle czynił państwo takim samym Lewiatanem pożerającym jednostkę ludzką, jak to głosił dawniej za młodu. Nie stworzył nadto żadnego jednolitego systematu etycznego.

Na taki zdobył się dopiero Arystoteles. Wytyczną jego etyki były przestarzałe zasady: zgodność z istniejącym ustrojem prawno-społecznym tudzież słabe uznanie dla praw jednostki ludzkiej. Przeniósszy wreszcie wyznawaną przez siebie teorję celowości w naturze na stosunki moralne, wtłoczył je Arystoteles w stałe normy, a choć tu i owdzie występował przeciw niezmienności miary moralnego pożytku, nie dojrzał w etyce rozwoju. Mimo to przyznaje mu Świętochowski poczesne miejsce w dziejach etyki, jako pierwszemu twórcy całkowitego systematu moralności i bacznemu obserwatorowi zjawisk etycznych, który pierwszy również z filozofów greckich dostrzegł wolę, jako ogniwo między czynem i myślą.

Nie trzeba dodawać, że, dzięki takiej pożywnej treści, wykłady Świętochowskiego budzą niesłabnące zainteresowanie śród słuchaczy, których liczba wciąż wzrasta.

Ed. Ward.

O samobójstwie wśród młodzieży i o nerwowości u dzieci.

(Konferencja odbyta d. 19 b. m. w Sali Stow. Techn.).

Rzecz znamienna: mimo wilji świąt, mimo stu went. kiermaszów i innych „zabaw na nędzę", na konferencji powyższej sala była przepełniona po brzegi; jest to znak pocieszający, że pośród tylu spraw żywotnych, którymi się ogół mało albo wcale nie interesuje, te przynajmniej sprawy pedagogiczne nie przestały być w opinji szerokich warstw społeczeństwa ważnymi i doniosłymi. Zebraną publiczność nie spotkał zawód, prelegienci dali bardzo duży materjał faktyczny, bogate oświetlenie sprawy i cenne wskazówki, wiodące ku osłabieniu tych czynników, które w życiu szkolnym i domowym prowadzą do tak częstego faktu samobójstwa wśród młodzieży. Bogactwem materjału i wszechstronnym ujęciem przedmiotu najbardziej odznaczał się doskonały referat d-ra Władysława Sterlinga. Z braku miejsca, z tego tylko referatu zaczerpniemy kilka ciekawych danych. Wszystkie sporządzone dotychczas statystyki — mówił d-r S. — wykazują niezbicie, że ilość samobójstw wogóle, specjalnie zaś samobójstw wśród młodzieży szkolnej, we wszystkich państwach europejskich niemal z roku na rok się zwiększa; przytym dane statystyczne odzwierciadlają zaledwie cząstkę istotnego stanu rzeczy, gdyż rodzina samobójcy stara się po największej części ukryć tragiczny wypadek. Jakież są najczęstsze przyczyny samobójstwa wśród dzieci i młodzieży? Oto co odpowiadają na to pytanie rozmaite statystyki: niezłożenie ostatecznego egzaminu, obawa przed egzaminem, obawa kary, wyrzucenie ze szkoły, wyczerpanie umysłowe, nieporozumienie z rodzicami i nauczycielami, okrutne obchodzenie się rodziców z dziećmi, dotknięte poczucie honoru, nieszczęśliwa miłość, stosunek z zamężną kobietą, przesyt życiem i t. p. Lecz poza tego rodzaju motywami, które częstokroć pozostają w rażącej sprzeczności z grozą samego faktu, kryją się głębsze i dwojakiego rodzaju przyczyny: jedne leżące nazewnątrz organizmu dziecka i inne, tkwiące w samym jego organizmie. Pierwsze—to warunki ekonomicznego, społecznego i politycznego życia (w Petersburgu w 1904 r. było 327 samobójstw, w 1905 r. — 532, w 1907 r. — 896, a odnośna ilość samobójstw wśród młodzieży wynosi 13%, 35% i 40% liczby ogólnej), dalej stosunki rodzinne i szkolne. W stosunkach rodzinnych najczęstszym powodem samobójstwa wśród młodzieży jest brutalne obchodzenie się rodziców, niewnikanie w uczucia i dążenia dzieci, bezwzględne narzucanie im swej woli; zaś w stosunkach szkolnych—przeciążenie pracą. Pomiędzy przyczynami tkwiącymi w samym organizmie młodzieńca — najczęstszę są te, z którymi połączone jest często budzenie się życia płciowego w latach 16, 17, 18. Częstokroć również ostatecznym ogniwem w łańcuchu motywów jest t. zw. „afekt patologiczny", czyli bardzo silnie spotęgowane uczucie bólu duchowego. Lecz nie jest tak zawsze, często fakt samobójstwa młodzieńca rozgrywa się na tle przerażającej pustki uczuciowej, najzupełniejszego wyjałowienia w dziedzinie afektu. Do kategorji newropatów kończących czasami samobójstwem, zaliczyć należy młodych, przedwcześnie zgorzkniałych filozofów, pozostających pod przemożnym wpływem doktryn pesymistycznych, lub też marzycieli, którym rzeczywistość popodcinała skrzydła i którzy pozostają pod urokiem jakiejś literackiej fikcji.

Zrozumienie tych wszystkich przyczyn zrodzić powinno w rodzicach i wychowawcach poczucie olbrzymiej pracy nad moralnym, duchowym i fizycznym życiem dzieci i poczucie ogromnej odpowiedzialności, jaka na nich ciąży. Gdy rodzice i wychowawcy — kończy prelegient — poznają najrozmaitsze odmiany indywidualności dziecięcej, gdy nie będą się cofać z przerażeniem przed chorobliwymi naroślami psychicznego życia młodzieży, gdy nie będą szarpać nim naoślep i brutalnie, lecz przeciwnie będą starali się koić, łagodzić i naprawiać je łagodną i kochającą dłonią, wtedy być może uniknie się wielu wykroczeń niewybaczalnych i zapobiegnie się wielu katastrofom; wtenczas samobójstwa wśród młodzieży przestaną istnieć, zniknie owo całopalenie z młodych żyć na ołtarzu kulturalnego rozwoju ludzkości.

Ze względu na widoczne zainteresowanie się ogółu wszelkimi sprawami pedagogicznymi, konferencje w rodzaju powyższej powinny się odbywać jak najczęściej.

J. W.

Z Towarzystwa kooperatystów.

19-go b. m. odbyło się w sali „Urania" na Brackiej zebranie T-wa Kooperatystów. Obecnych było kilkadziesiąt osób, z których kilkanaście tylko dosiedziało do końca. Jeden z mówców robi melancholijną uwagę pod adresem inteligiencji warszawskiej, że jest to bodaj jedyna na świecie inteligiencja, którą nic nigdy na serjo nie obchodzi. Nieliczne i ruchome audytorjum ironicznie usposabia mówców. Pp. Mędrecki Donimirski i Stanisław Wojciechowski zdają sprawę z pierwszego zjazdu kooperatyw polskich. Sprawozdanie to znane jaż jest czytelnikom *Prawdy*. Mówcy podali je w skróconej, lekkiej formie „przystosowanej do publiczności", jak zauważył p. St. Wojciechowski. Wogóle Warszawa w ruchu kooperatywnym nie odgrywa żadnej roli, co p. St. Wojciechowski zdaje się przyjmować jako zło konieczne, którego zbytnio brać do serca nie należy wobec olbrzymiego rozwoju kooperatywy w całym kraju, a szczególniej w fabrycznych miejscowościach g. Piotrkowskiej.

Przemówienie p. St. Wojciechowskiego nie wywołuje właściwej dyskusji; z audytorjum padają liczne zapytania. Wywiązuje się rozmowa, dotycząca trzech kwestji: federacji, pracowników kooperatywnych i stosunku kooperatyw spożywczych do wytwórczych.

Federacja kooperatyw jest na dobrej drodze; chwilowo zastępuje ją t. zw. biuro informacyjne, które wejdzie w pełny ruch od 1-go stycznia, a obecnie już dokonało hurtowego zakupu soli dla sklepów spożywczych. Biuro informacyjne, obok dokonywania hurtowych zakupów, zajmie się szerzeniem wydawnictw, kształceniem fachowych subjektów handlowych, oraz dopomaganiem słabszym kooperatywom spożywczym, których jest blisko 80% ogólnej liczby i które upadną, o ile im nie przyjść z pomocą. Potrzebę istnienia biura najżywiej odczuwa centrum polskiej kooperatywy, polski Rochdall, *Pabjanice*. W pracy biura informacyjnego przydałaby się bardzo pomoc umysłowa i materjalna inteligiencji.

Pracownicy kooperatywy spożywczej, t. j. sklepowi, stanowią jej słabą stronę. Sklepowy z prywatnego sklepu, przechodząc do kooperatywnego, nie może się zorjentować, że tu nie chodzi o to, aby jaknajdrożej sprzedać jaknajgorszy towar. W do-

datku sklepowi lekceważąco, a nieraz i nieuczciwie traktują swoich pracodawców, którymi są robotnicy i włościanie. Wykształcenie fachowych, w znaczeniu kooperatywnym, subjektów handlowych, oraz zorganizowanie ich w związek zawodowy—jest zagadnieniem palącym. Kooperatywy nie obawiają się podniesienia płac swoim pracownikom, lecz kwalifikacje tych pracowników i ich uczciwość są dla nich jedną z najżywotniejszych kwestji.

Stosunek kooperatyw spożywczych do kooperatyw wytwórczych wchodzi u nas na pożądaną drogę.

Tu znów początek dały Pabjanice. Kooperatywne sklepy spożywcze już dzisiaj bardzo często zakupują masło, miód, mąkę etc. wprost od spółek włościańskich, zupełnie eliminując wszelkie pośrednictwo i oczywiście jego koszta. Lecz na tym nie koniec. Istnieje już u nas cały szereg kooperatyw wytwórczych: tkalnie mechaniczne w Łodzi (kierownik p. Mejsztowicz), tkalnie wełny w Zgierzu, chustek w Zduńskiej Woli, huty szklane, fabryki makaronów, warsztaty szewckie i t. d., gdzie wszyscy robotnicy są jednocześnie współwłaścicielami i które sprzedają swoje produkty przeważnie kooperatywom spożywczym. Ułatwiać i regulować ten stosunek będzie również zadaniem Biura Informacyjnego. Łódzkie mechaniczne tkalnie bawełny nie mogą podołać zamówieniom kooperatyw spożywczych. Polskie kooperatywy wytwórcze nie są to, jak w Anglji, fabryki, założone przez związki kooperatyw spożywczych. Stosunek ten układa się u nas na modłę francuską: kooperatywa wytwórcza jest samodzielną instytucją, bratnią kooperatywie spożywczej. Tak, czy inaczej — rezultatem jest eliminacja pośredników w stosunkach robotnika, jako wytwórcy, do robotnika, jako spożywcy. Byłoby, wskazanym zrobić jeszcze jeden krok na tej drodze, a mianowicie zająć się konfekcją i w ten sposób stanąć do walki z chałupnictwem. Sposób ten został wypróbowany w Belgji i Anglji.

Drugi punkt porządku dziennego obejmował nieśmiertelną kwestję Merkurego.

P. Wojciechowski zamilkł, ironicznie uśmiechnięty. P. Mędrecki zaczął dowodzić, że trzeba nareszcie przekonać p. Wojciechowskiego, iż nie zawsze ma słuszność, a Warszawa nie jest taka niedołężna, jak mu się wydaje. A więc dowiedzieliśmy się, że Merkury jest jedną z najstarszych kooperatyw w Europie, że ma doskonałą ustawę, że jego rówieśnicy na Zachodzie mają dzisiaj wielomiljonowe majątki i stały się potężną dźwignią poprawy bytu klas nieposiadających, że nawet znacznie młodsze kooperatywy wyprzedziły o tysiące mil Merkurego, a on sobie poczciwie stoi w miejscu, arystokratycznie unikając „plebsu", gdyż nie trzyma w swoich sklepach tych produktów, które „plebs" kupuje. Mamy wstępować do Merkurego (to kosztuje aż rubla) i mamy go reformować i demokratyzować...

P. Wojciechowski się roześmiał, a p. Mędrecki pokazał mu zaciśnięty kułak. Na sali było już tylko jakieś 15 osób...

J. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Gabrjela Zapolska: **„Pani Dulska przed sądem"**. Warszawa, 1908. S-owie S. Orgelbranda. Str. 38.

Stanowczo Zapolska nie ma szczęścia do „dalszych ciągów". Powodzenie „Sezonowej miłości", pomimo fatalnej rozwlekłości i braku pogłębienia psychologicznego, jednej z najlepszych powieści ostatnich lat twórczości autorki „Kaśki Karjatydy", zachęciło Zapolskę do napisania „Córki Tuśki". To jednak, co w „Sezonowej miłości" miało swój charakter, pewien urok, pewną subtelność nawet, rozwleczone w setki tasiemcowych feljetonów straciło wszelki powab i stało się nudnym. A nuda, to największy wróg talentów. Jeżeli „Sezonowa miłość" budziła interes u czytelników, którzy poszukują w powieści czegoś więcej, niż interesującej fabuły, to już „Córka Tuśki" zadawalniać mogła jedynie mniej wygórowane wymagania czytelników odcinków *Kurjera Warszawskiego*.

„Moralność pani Dulskiej" miała powodzenie, nawet rozgłos sceniczny (w znacznej części jest on zasługą znakomitego zespołu „Teatru Małego", Gawalewicza); Warszawa i prowincja cieszyły się widząc, z niezwykle drobiazgową obserwacją i humorem, przedstawione „interieur" rodziny burżuazyjnej. Bez zaprzeczenia ta komedja należy do lepszych rzeczy z obszernego repertuaru Zapolskiej, stoi o wiele wyżej nietylko od „Tresowanych dusz", ale i od całego szeregu dzieł „pseudodramatycznych", jak „Tamten", „Sybir" i „Ahasfer", nie dorównywa natomiast „Żabusi", zdaniem moim najlepszemu utworowi scenicznemu autorki.

Zasadniczą wadą „Moralności pani Dulskiej" jest owa drobiazgowa obserwacja, która w pewnej mierze jest nietylko pożądana, ale konieczna; ciągłe jednak podkreślanie najdrobniejszych sytuacji i rysów prowadzi do gubienia i zatracania całokształtu utworu w labiryncie szczegółów, prowadzi również w następstwie do szarży, która cechuje niestety utwory Zapolskiej z ostatnich czasów, prowadzi również do płytkości. A Zapolska płytką w gruncie rzeczy nie jest, ma nieraz dużo i uczucia i myśli, ale nie umie nad istotą swego szerokiego talentu zapanować.

Otóż „Pani Dulska przed sądem", to humoreska, będąca dalszym ciągiem „Moralności pani Dulskiej". Bez swojego „początku" scenicznego „dalszy ciąg" żadnej własnej wartości nie posiada, autorka więc przyjęła, jako aksjomat, iż ogół czytającej publiczności widział „Panią Dulskę" na scenie. Przypuśćmy! — ale „cui bono" ta nowelka, czy opowieść o „kokocicy" i jej czarnym synku: sytuacja w sądzie mało prawdopodobna, humor zbyt naciągnięty, a osoby działające znacznie lepiej zarysowywały się na scenie. Nie mogą ocalić książki ani piękne wydanie, ani „żywe ilustracje" (fotografje artystów „Teatru Małego" w odpowiednich sytuacjach). Nie! stanowczo nie ma Zapolska szczęścia do „dalszych ciągów".

Jan Iwański.

Wydawnicta gwiazdkowe.

Nowe wydania Verne'a.

(„Podróż naokoło świata w 80-iu dniach", „Piętnastoletni kapitan", „Pięciotygodniowa podróż balonem nad Afryką", „Czarne Indje". Wydawnictw Geb. i Wolffa. „Król przestrzeni", „Gwiazda południa", wyd. M. Arcta).

Juljusz Verne nie przestaje być ulubieńcem młodych czytelników wbrew krytykom pedagogów pedantów, wbrew przestrogom wychowawców cytujących, jako zabójczy argument przeciw autorowi, awanturnicze eskapady młodzieży żądnej wrażeń „Dzieci Granta" lub „Piętnastoletniego Kapitana".

Oto znowu obecna „gwiazdka" przyniosła nam nowe wydanie tych starych książek, którymi karmiła się niegdyś wyobraźnia dziś już dojrzałego i przejrzałego pokolenia. Będą więc dzieci nasze, z tym samym gorączkowym co my zaciekawieniem, zwiedzały „Czarne Indje", czyli angielskie kopalnie węgla i w szeregu przygód nadzwyczajnych zaznajomią się z niebezpieczeństwami grożącymi górnikom i z cudownymi zdobyczami nauki i techniki, najpotężniejszą bronią człowieka w walce z siłami przyrody. Będą znów, jak my niegdyś, wraz z dziećmi kapitana Granta, opływały ziemię dookoła po 37-o szerokości południowej, będą podziwiały osobliwą przyrodę Australji i drżały z grozy wobec obrazu trzęsienia ziemi w Andach, lub też w podróży naokoło ziemi, objeżdżając ją w ciągu 80 dni z Zachodu na Wschód, doznają ciekawej niespodzianki na ostatniej stronicy, stwierdziwszy, że zyskały jeden dzień nadliczbowy dzięki obrotowi ziemi.

Z „Królem przestrzeni" płynąć będą naprzemian po morzach, pod wodą lub szybować w powietrzu — znowuż dzięki wynalazkom techniki, wprawdzie jeszcze niedokonanym, lecz przeczuwanym przez antycypującą wypadki wyobraźnię Verne'a. Ktoby zaś zechciał zarzucić autorowi, że taka przedwczesność jego wynalazków prowadzi umysły dzieci na manowce, temu możnaby odpowiedzieć, że Mickiewicz w swej humorystycznej „Historji przyszłości" przepowiadając telefony, myślał, iż fantazjuje, podczas gdy prorokował trafnie, trafniej może niż wtedy, gdy przepowiadał poważnie i z głęboką wiarą. Moznaby także powiedzieć, że hypotezy są skrzydłami wiedzy, a dawanie ich dzieciom w formie beletrystycznej, która uprzedza już z góry o przeplataniu prawdy zmyśleniem, nie wprowadza w błąd, lecz podnieca zaciekawienie umysłów dziecięcych.

Czy wolno jednak te umysły podniecać? Cofnijmy się do naszych wspomnień dziecinnych; czy przyniosły nam jaką szkodę podróże fantastyczne Verne'a? Sądzę, że nie. Umysł dziecięcy — tak samo jak nasz zresztą—szuka w literaturze podniet i wrażeń. Szuka ich może jednostronniej niż w późniejszym wieku. Pamiętajmy że czym dla nas są naukowe dzieła — tym dla nich wykłady szkolne. Dodajmy, że i dorośli dzieł naukowych nie rozchwytują zbyt chciwie. Jeżeli zaś zgodzimy się z faktem, że młodzież w książkach czytanych szuka wrażeń, że przeważnie karmiona jest bladą i anemiczną beletrystyką, pozbawioną zarówno artyzmu jak realizmu, to błogosławić będziemy autora darzącego ją sensacjami w stylu szlachetnym i wytwornym. Istotnie bowiem Verne nigdy nie gra ani na instynktach drapieżnych i krwiożerczych, ani na żądzy zysku, jak autorowie innych nadzwyczajnych przygód egzotycznych. Umie on swe opowiadanie zabarwiać humorem, umie skupić zainteresowanie na bohaterach nauki i pracy, olśniewać czarodziejską potęgą wiedzy i cywilizacji. Ma przedewszystkim jedną cenną właściwość — rzeczywisty talent. Dzięki temu on jeden może dziś czynić zbawienną konkurencję takim poczytnym dziełom jak Sherlock Holmes, lub Jack Texas.

Teatr Wielki: **„Smocze gniazdo"**, dramat z czasów Zygmuntowskich, w 4-ech aktach z epilogiem, Adolfa Nowaczyńskiego. Reżyserował Józef Śliwicki.

Nie znoszę uogólnień, gdyż czuję, że wszelka klasyfikacja, wszelkie podporządkowywanie pod ogólną zasadę odbywać się musi kosztem najciekawszych nieraz szczegółów, kosztem najistotniejszych zróżniczkowań, że, uogólniając, robimy zawsze krzywdę czemuś, czy komuś.

A jednak cała niemal literatura nasza i to w najszczytniejszych swych wykwitach posiada pewien zasadniczy rys ogólny, którego przeoczyć nie można. Jest nim to przelewanie się wewnętrznej treści przez wązkie zakusy form wyżłobionych przez twarde dłonie konieczności, to ciągłe szamotanie się z dalą i głębią, których żadna perspektywa wyrazić nie jest w stanie i żaden, choćby najszerzej zakrojony obraz w całości objąć nie może. Ale właśnie ta nienasyconość wzroku i wysilanie go ku objęciu całości nieistniejących może na tej ziemi, gdzie wszystko jest tylko ciągiem, wprowadza do literatury naszej epizodyczność, każe jej wydawać gienjalne fragmenty, z których jak z bloków granitu zbudowaliśmy sobie szaniec broniący naszego istnienia, ale kształt greckiej kolumny, skończona linja helleńskiej świątyni z naszej duszy wykwitła może raz jeden tylko — w „Panu Tadeuszu". Poza tym z fragmentów skute są „Dziady"; szalony pęd wichru rozpycha i rozsadza dramatyczne poematy Słowackiego, łamie umówione przegrody scen, aktów i granic akcji w dramatach Wyspiańskiego... To znów gasi kominkowe ognie, w których blasku turkotał dawniej poczciwy kołowrotek, snując długą, a równą nić spokojnego opowiadania, a oko twórcy własną tęsknotą promieniejąc, gwałtownymi rzutami blasku oderwane i niepowiązane oświetla obrazy, skry nieci w popiołach, skrami tymi się mieni, ale ich w jedno ognisko połączyć nie umie — i tak powstają „Popioły" Żeromskiego.

Wszędzie dążenie do objęcia jakiejś wielkiej całości jest tu punktem wyjścia i wszędzie tylko fragment jego rezultatem. Ale ten fragment jest często tak potężnym jak jedno drgnienie duszy, w którym światy poczynają się i giną, jak jeden błysk myśli, co słońca przykuwa i globy w wir pszcza.

Nie nam na tablicach miedzianych ryć prawa, co w kręgi „trzech jedności" zakuwają dramat, nie nam stanowić wymiary klasycznych torsów i w stopach wyrażać wysokość kolumn. Tu Polska stoi dotąd nie rządem, nie rządnością posiadanych środków, nie skrzętnym ich zbieraniem i rozsądnym używaniem, ale młodym, ale ciągłym sił przypływem, fal przybraniem i... rozlewem.

Ktoby chciał rozbierać „Smocze gniazdo" z punktu widzenia obowiązujących reguł i przepisów, stosował doń nie greckie nawet, ale nasze dzisiejsze wymogi, już sam ten fakt, że t. zw. bohater dramatu zjawia się na scenie dopiero w drugim akcie, wystarczyłby do zupełnego potępienia dzieła Nowaczyńskiego — i do kompletnego niezrozumienia jego istoty. P. Nowaczyńskiemu chodziło o stworzenie szerokiego historycznego obrazu, o oddanie nastroju całej epoki, której rozkiełznane życie równie często i nieraz nawet tych samych ludzi popychało do bohaterstwa, to do występku... A więc znów ta dal nieobjęta, ten cel niedosięgły, ta tęsknota, co kulisy ramionami rozpiera, bo rąk rozpostrzeć nie ma gdzie... A pan Stadnicki był mu również potrzebny jak siódma, czy siedemnasta deska w posadzce komnaty pani starościny, bez której nie byłoby jednej, czy kilku scen dramatu, bo Djabeł Łańcucki jest w dramacie takim samym fragmentem, może tylko nieco większym, jak zabiegi pani wojewodziny Ostogskiej o pozyskanie Kachny Strusiówny do swego fraucymeru lub zdrada Viscontiego.

Tylko, że postać djabła z Łańcuta rozrosła się w rękach p. Nowaczyńskiego i nie mógł się on nawet w końcu zdecydować, czy zrobić z niej typ warchoła, którego pod pręgierz ma postawić i wydać na potępienie, czy też odkupić go potęgą niepohamowanych namiętności, wyprowadzić go po za granice złego i dobrego i zrobić z niego posąg o nieludzkim, ale i nadludzkim kształcie.

Rozdźwięk ten czuć w całej sztuce — gdy się ją czyta, bo na scenie umiał go p. Kotarbiński przygłuszyć historyczną maską i przez głębokie wczucie się w odtwarzaną postać, pogodził i zsyntetyzował zamierzenia autora. Jego djabeł czarną miał duszę i złe błyski w oczach, gdy szyjkę Opalińskiej łechtał ostrzem szabli, ale lśnił z niego również ten karmazyn dumny, w który się później dusza Nietzschego ubrała, nie zaprzeczając, że ten strój uroczny polskiej, zapomnianej zawdzięcza ojczyźnie.

A to, co dla Djabła Łańcuckiego uczynił p. Kotarbiński, to dla całej sztuki zrobił p. Józef Śliwicki jako reżyser. „Smocze gniazdo" przedstawiało w tym względzie trudności, których pokonanie stanowić będzie zawsze o jego powodzeniu. Epizodyczność samego dramatu i mnogość scen zbiorowych wymagają nadzwyczajnie starannej reżyserji, gdyż dopiero przy takim zespole wszystkich sił i wszystkich środków dzieło p. Nowaczyńskiego wystąpić może w całym swym szerokim i okazałym pięknie.

Stefan Gacki.

Warszawskie Konserwatorjum.

Niewiele zapewne mamy ludzi, wtajemniczonych w stan, w jakim znajduje się Warszawskie Konserwatorjum. Pomimo, że jedyna u nas w kraju wyższa szkoła muzyczna w ostatnich latach ogromnie upadła, cieszy się jednak jeszcze niezwykłym zaufaniem społeczeństwa, największa ilość bowiem kształcących się w muzyce przypada na tą instytucję. Nic dziwnego: szkoła ta ma swoją tradycję. Ażeby wytłumaczyć to powodzenie, dość wspomnić, że wykładali w niej w swoim czasie Moniuszko i Zarzycki, a dziś korzysta ona z siły tej miary, co Z. Noskowski. To też pisząc ten artykuł nie myślę podkopywać zaufania, z jakiego korzysta instytucja, która bezwarunkowo położyła zasługi na polu szerzenia kultury muzycznej; chcę tylko wykazać główne wady, które dałoby się przy reformowaniu usunąć.

Wszyscy wiemy, że Warszawskie Konserwatorjum mieści się w nieodpowiednim gmachu; nie posiada ono dostatecznie obszernych sal o prawidłowej akustyce. Sale Konserwatorjum — to najzwyklejsze pokoje mieszkalne, od biedy nadające się jeszcze na jakąkolwiek inną szkołę, w żadnym jednak razie — nie na muzyczną. Przytym pokojów tych jest zamało, tak, że jedni drugich ograniczają pod względem czasu. Moim zdaniem sal powinno być tyle, ażeby każda klasa z zupełną swobodą mogła prowadzić studja. Poza tym niema ani jednej sali, akustycznie odpowiedniej dla prób muzyki zbiorowej (orkiestry). Nie można prowadzić studjów orkiestrowych w małym pokoju, gdzie nawet wytrawny muzyk, niemożliwie chłostany przez refleksy dźwiękowe, nie jest w stanie odróżnić konsonansów od dysonansów. Budowa więc nowego odpowiedniego gmachu dla konserwatorium będzie koniecznym czynnikiem przyszłości rozwojowej tej instytucji.

Co powiedziawszy, przechodzę do omówienia systemu wykładania w Konserwatorjum. Zbywa mu na jednolitości metody; każdy z profesorów działa na swoją rękę. Uczeń znajdujący się w jednym i tym samym zakładzie naukowym musi ulegać różnego rodzaju systemom. Zdarza się bowiem tak: uczeń wstępuje na I kurs, dajmy na to, fortepianu. Profesor układa mu rękę *podług swojej metody.* Po roku, 2-ch latach ten sam uczeń przechodzi na kurs średni. I tu staje się rzecz dziwna. Profesor tego kursu stawia mu *inne wymagania układu ręki.*

Pociąga to za sobą olbrzymią pracę (której następstwem: przeforsowanie ręki i zniechęcenie) bez jakichkolwiek korzyści, postęp bowiem warunkuje się konsekwentną ciągłością metody. Naszym zdaniem powinno się uważać za pewnik, że ogólne zasady układu ręki przyswaja sobie uczeń na 1-ym kursie. Promocja na średni kurs winna następować po ostatecznym opanowaniu tych zasad, tak, że profesor następnego kursu czuwa tylko nad tym, czy ręka ucznia wykonując śmielsze ruchy, nie wychodzi z nadanego jej układu. Dzieje się tak w szkole wiedeńskiej Leszetyckiego, gdzie każdy z profesorów trzyma się jednego i tego samego systemu układu ręki. Idąc dalej pozwalam sobie zwrócić uwagę, że metoda pedagogiczna nie powinna być tajemnicą dla ucznia, że w każdą intencję winien być on odpowiednio wtajemniczonym, pożądanym jest, aby uczeń wiedział, jakie korzyści otrzymuje, gdy idąc za wskazówkami profesora, kładzie szczególny nacisk na te, a nie inne punkty widzenia. Obecnie dzieje się inaczej: w Warszawskim Konserwatorjum nauczyciel zapisuje uczniowi ćwiczenia nie objaśniając go wcale, jak ma je przestudjować. Uczeń, nie mając żadnych danych wytycznych, pracuje nad ćwiczeniami na chybił trafił i nie otrzymuje najczęściej żadnych rezultatów. Jestto niedbalstwo w ogromnym stopniu, które koniecznie powinno być usunięte.

Niezbędne są wykłady z anatomji i fizjologji. Dzisiejszy uczeń Konserwatorjum nie ma pojęcia, co to jest ścięgno, jak powinny pracować mięśnie, jakie ćwiczenia ujemnie działają na cały układ mięśniowy, kiedy przerwać pracę, ażeby nieprzeforsowywać narządu mózgo-rdzeniowego; przeforsowanie bowiem takie prowadzi studjującego do wyczerpania układu nerwowego i nabawia go skazy artretycznej. Wszystko to nie powinno być obcym instrumentaliście chcącemu robić postępy, nie wyczerpując swoich sił fizycznych. Do jakich wyników prowadzi nieznajomość tych zasad, mamy dowód na Tausigu i Chopinie; obaj cierpieli na chroniczne osłabienie mięśni. Następnie pożądanym jest wprowadzenie od początku studjów systematycznych wykładów aplikatury; zdarza się często, że uczeń, nawet dość posunięty w muzyce, chwyta odległe pozycje niewłaściwymi palcami, nadwyrężając ścięgna.

Klasa organowa nie posiada odpowiednich organów; małych organków o niedostatecznej ilości regestrów nie podobna wziąć w rachubę. Klasa śpiewu prócz studjów nad delimitacją, artykulacją, dykcją, deklamacją, powinna także być zapoznawaną rozlegle z utworami w stylu recytatywowym i reprezentatywowym, jak również z historją stylu wokalnego.

Pożądanym także byłoby, ażeby ilość profesorów pozwalała na każdorazowe co najmniej 15 minutowe zajęcie się uczniem w klasie: przy obecnej ilości nauczycieli i ciasnocie pomieszczenia profesor może poświęcić podczas lekcji najwyżej 8 minut uczniowi, tymbardziej, że obecny skład profesorski, z małymi wyjątkami, nie wiele ma wspólnego z prawdziwą sztuką i jako taki, *pańszczyźniano* odrabia swoje godziny. Zastąpienie dotychczasowych profesorów takimi, którzy zajmując się pedagogiką, zapisują się jednocześnie na kartach twórczości kompozytorskiej, będzie jednym z koniecznych warunków pomyślnej rekonstrukcji uczelni warszawskiej. Dla przykładu wymienię chociażby kompozytora, pianistę i pedagoga tej miary, co Wojciech Gawroński, który choć mieszka w Warszawie, nie został powołanym do wykładów w Konserwatorjum.

Należałoby także pomyśleć o funduszach, któreby pozwoliły na utworzenie stałych stypendjów dla muzyków, chcących korzystać z wiedzy muzycznej zagranicą.

Wacław Krasiński.

„Salon warszawski”

(Dokończenie.)

Doskonałymi są pejzaże morskie Ślewińskiego, a szczególniej wybornymi są malowane przez niego kwiaty. Odznaczają się one prostotą środków przy najbardziej modernistycznym traktowaniu, ciepłym i bardzo przyjemnym kolorytem i robią wrażenie dobrze odczutej natury. Są to najlepsze prace ze wszystkich, wystawionych w obecnym salonie.

W „Kwiatach” Pieńkowskiego, które są także dobre, czuć mniej indywidualności samego artysty, ale za to duży wpływ Cezanna. Rapacki wystawił bardzo dobry „Zakątek w Parku”, Trzebiński dobry efekt oświetlonego wieczorem „Starego Miasta”, a Taljański podobny efekt oświetlonej „Opery paryskiej”. W pejzażach Wankego jest dużo poczucia kolorystycznego, dobrym jest również krajobraz Ziomka „O zachodzie”. Uziembło w modernistycznie traktowanych pejzażach wykazuje duże poczucie koloru, lecz samą materję niezawsze dobrze traktuje. Woda w jego „Tamizie” jest podobna do sznurków bawełny różnokolorowej lub makaronów zabarwionych, ale niczym wody nie przypomina.

Popowskiego „Noc na Wiśle” dobra jest w ogólnym efekcie, lecz robi wrażenie jakgdyby łódź znajdowała się na olbrzymim jeziorze. Cylkowa „Morze” odznacza się jasnością tonów i kolorem, dobre są w nim fale i ich piana, ale pierwszy plan jest kiepski. Sichulskiego „Trzyptyk ukraiński” jest wcale niezły co do siły i światła, lecz jego części poszczególne nie wiążą się ze sobą i nie tworzą jednolitej całości. Hoffman, którego poprzednie prace ciekawie się prezentowały, sprowadza sztukę do jakiejś dziecinnej szopki. Jego „Trumienki” z ubieraniem dzieciaków w tekturowe stroje niewiele są warte. Dużo dobrego jest w jego „Podartym kierpcu”, ale kogo taki temat interesować może? Artysta ten również grubo się myli sądząc, że namalowana przez niego chłopka ze złożonymi do modlitwy rękami może być Madonną.

Dobre są w kolorze i w tonie małe pejzaże Noskowskiego, jak również śniegi Czajkowskiego.

Portret, najbardziej uprawiany u nas dział sztuki, nie ma pierwszorzędnych przedstawicieli. Najlepszą pracą w tym dziale jest portret bar. Kronenberga, wykonany jako *drzeworyt kolorowy* przez Krasnodębskiego. Ktoby się u nas tego spodziewał, aby *drzeworyt* mógł być dziełem sztuki? A jednak tak jest w istocie, portret ten jest dziełem wysokiej wartości artystycznej. Podwójny portret „Dzieci” Augustynowicza posiada w akcesorjach ogromną plastykę; sukienki dziewczynek i stół występują przed ramy obrazu, całość jednak robi wrażenie pomalowanej fotografji, brak w tym obrazie plam barwnych. Ten sam brak barw jest i w portrecie kobiecym widoczny; lepsze są indyki tego artysty, bo bardziej kolorystycznie traktowane.

Janowski Ludomir wystawił jak zwykle przekończone w technice i w pomarańczowym utrzymane tonie portrety o lalkowatym wyglądzie. W pracach tego malarza połysk dżetu u sukni i połysk nosków u trzewików posiadają ważniejsze znaczenie nad wyraz twarzy portretotowanej osoby. Wydłużona bez granic i sztywnie siedząca dama w czarnej sukni, na tle jakiegoś krajobrazu, i przy niej stojące dziecko ze źle umieszczonymi światłami na czole, są dziełem wielce pretensjonalnym, ale niewielkiej wartości artystycznej.

Laurensa portret młodszego mężczyzny dobry jest w ruchu i wyrazie pomimo pewnej oschłości w traktowaniu, drugi, mężczyzny starszego, banalny jest w ruchu i zbyt pergaminowy w traktowaniu głowy.

W wystawionych dwuch portretach kobiecych Okunia widać poszukiwania nowej techniki i nowych problematów kolorystycznych, które jeszcze do pożądanego rezultatu nie doprowadziły. Oba portrety są twarde, suche, przesadne w połyskach, co szczególniej widzieć się daje w traktowaniu włosów. Są to więc próby, z których może coś ciekawego się wyłoni.

Pautsch wystawił portret Staffa (?), który tylko jako śmiało rzucony szkic uważać należy. Jeżeli zaś ma to być praca skończona, to w takim razie brak jej wszelkiej prawdy. Niema również prawdy w główkach pastelowych Aksentowicza, lecz ubieganie się za szykowną, choć łatwą techniką. Z wystawionych prac tego artysty najlepszym jest portrecik chłopca „Malarczyk”. Jest to praca przyjemna w tonie. Dużo ciekawego przedstawia „Studjum psychologiczne” Żelisławskiego. Na uwagę zasługują przyjemne studja główek dziewczęcych Januszewskiego, portrety Koźniewskiej i Mrozowskiej.

Że można posiadać dobrą technikę i nie być wcale artystą, świadczy tryptyk Jasińskiego Zdzisława, zatytułowany „Chleb”, który nawet ma pretensję wyrażać jakąś symbolikę!

Biedna ta nasza, swojska symbolika! Co za płytkość, jakie papuzie naśladownictwo cudzych niedorzeczności w niej spotykamy, przy fałszywej pozie na głębokość i oryginalność!

Piechowski namalował obraz, w którym wyszywany obrus, globus, nieśmiertelna czaszka ludzka, kopcąca stołowa lampa bez szkła, a szkło i klosz zdała stojący na stole, za stołem siedzący jakiś osobnik bezpłciowy i obok niego dwie niewiasty w płachcie i czarnej sukni, grające na instrumentach, okropnie narysowane i kiepsko namalowane, co wszystko razem ma posiadać głębokie symboliczne znaczenie, a jest poprostu stekiem... naiwnych „Myśli” artysty.

Na szczęście, więcej podobnej symboliki nie mieści w sobie wystawa. Dział, w którychby poetycka fantazja rolę grała, również niema. Jedynie Gawińskiego „Aurora” w tę dziedzinę wkracza. W głębi obrazu, z pomiędzy drzew wyłania się olbrzymia postać niewieścia, dosyć jednak lekka i cała jaśniejąca barwami wschodzącego słońca. Jej światło oświetla pnie i gałęzie drzew znajdujących się na planie pierwszym, znacznie jednak mniejszych od drzew w głębi, co sprawia dziwne pomieszanie planów w obrazie: głębsze występują naprzód, przednie się cofają. Głównym efektem obrazu jest jasna, ale różnobarwna silna plama świetlna i to najzupełniej wystarcza, niepotrzebnie więc zostały w obrazie umieszczone zbyt malutkie amorki-grzybki, gnom i jakiś śpiący mężczyzna, tak słabo zaznaczone, że nawet zbliska zaledwie dojrzeć się dadzą. Obraz jako całość robi efektowne, dekoracyjne wrażenie.

Poczawszy od Gotlieba, Żydzi w sztuce naszej poczęli zajmować odrębne stanowisko. W obrazach swoich starają się oni zawsze o pewne upoetyzowanie typów swych współplemieńców, przedstawiając ich najczęściej w chwili modlitwy. Ostatnie straszne wypadki rewolucyjne z pogromami wydały artystę-Żyda, który wszelką idealizację i obrazowość odrzucił, a w pracach swoich stara się przedstawiać tylko dokumenty chwili. Minkowski dał się już poznać z prac przedstawiających różne sceny po pogromach, w których główną uwagę zwrócił na realne wyobrażenie typu żydowskiego i na wyraz. Jego prace robią wrażenie nie artystycznością pomysłów, nie malarską stroną, lecz tylko prawdą fotograficznego odbicia. W jego kompozycjach niema żadnego pomysłu, żadnego układu grup, istnieje bezładna masa, taka, jaką się w naturze, w życiu spotyka. „W oczekiwaniu pociągu” widzimy scenę po pogromie, jak tłum żydowski porzucić chce miejsce swego nieszczęścia. Dobre są tam odpowiednie wyrazy a szczególniej typy, jaskrawo i realnie zaznaczone, właściwe rasie żydowskiej. „Pisanie umowy zaręczynowej” przedstawia dla nas—nie Żydów—ciekawą scenę. Jak tam przy słabym świetle świecy rysują się wyraźnie masywne szczęki mężczyzn i kobiet znamionujące upór, jaki fanatyzm bije z tych twarzy brzydkich przeważnie, jak czuć, że nad tą ciemną tłuszczą panują chedery i cadycy kalwaryjscy. To nie Żydzi Gotlieba lub Hirszenberga, to mieszkańcy Ghetta, straszni ciemnotą i fanatyzmem. Minkowski nie jest artystą, jego obrazy nie są dziełami sztuki, ale mają one wartość dokumentów o rasowym charakterze.

Najtrudniejszym w sztuce jest dobre wyobrażenie nagiego ciała ludzkiego. Artyści nasi unikają tego rodzaju wyobrażeń nietyle z pruderji, ile, że nie umieją dobrze rysować, a nawet i malować form ludzkich obnażonych. Obraz Pillatiego „W kąpieli”, gdzie widzimy nagą kobietę, której przypatrują się dwie głowy starcze, ma dużo zalet bezwątpienia, ale jest twardy w rysunku, ciężki w technice, a kolor jego utrzymany w „swojskim” impresjonizmie wcale do harmonijnych zaliczyć się nie może. Głowa i formy ciała mającej się kąpać kobiety wdzięku nie posiadają. Całość jest ciężka i niedekoracyjna.

Huzarskiego dwie Madonny, z których jedna stoi, mając za sobą coś w rodzaju zimowego tła, a druga siedzi z dzieciątkiem na łonie, mając za tło rodzaj pejzażu letniego, są przestylizowane i bez wszelkiej plastycznej formy. Idąc tak umyślnie fałszywą drogą, artysta daleko nie zajdzie. A mógłby wykonać coś rzeczywiście ciekawego, gdyby bardziej chciał być szczerym.

Rzeźba nieszczególnie jest reprezentowana w obecnym salonie, gdyż naogół jest ona u nas bardzo kiepska. Najlepszą i najciekawszą pracą jest „Żal”, mały marmur Laszczki. Odznacza się ta praca sumiennym i delikatnym wystudjowaniem pleców kobiecych. Nogi są jednak trochę za długie. Drugi marmur tegoż artysty „portret pani Ż. P.” jest sztywny w ruchu i zbyt konwencjonalny. Wyborne jest popiersie młodego chłopca, praca Rudlickiego, odznacza się ono smętnym jakimś wyrazem i doskonałą techniką. Jako dobre studjum nagiego, chudego, lecz brzydkiego ciała jest „Młody nurek” tegoż artysty. Co znaczy impresjonizm w rzeźbie, doprowadzony do absurdu, świadczy „Letnia noc” Rzeckiego. „Archanioł” Wasilkowskiego jest dosyć interesujący, lecz jako fragment nie da się ocenić bez całości.

Grafika i rysunki nieźle się przedstawiają. Oprócz znakomitego portretu Krasnodębskiego, zasługują na uwagę bardzo dobre akwaforty Komorowskiej, Kowalskiego, Rubczaka, główka kobieca Koniecznego. Bagieński dał dwa dobre rysunki ciekawych i malowniczych dziedzińców domów w Krakowie, a Tański portrety koni. Graskiewicz wystawił jakąś „Bajkę” nie bardzo sympatyczną i niejasną z karykaturalnymi wyobrażeniami zwierząt. Erlich w swoim „Prologu” narysował mocno wystylizowany ogród francuski, w alei którego idzie Pierrot, Pierrotki i za nimi tłum jakiś ludzki. Dziwną fantazją odznacza się karykaturalny „Tercet” Kamińskiego Ryszarda, czyżby to miał być polityczny koncert Europy, Azji i Ameryki? Również niezrozumiałym jest drugi rysunek tegoż artysty „Ten”, w którym jakiś szlachcic w kontuszu przy-

patruje się trumience ze zwłokami dziecka, a z boku stoi dama w stroju rokoko. Są to rysunki karykaturalne, lecz o mocnej charakterystyce. Zdobnictwo przedstawia się bardzo skromnie i wcale nieoryginalnie. Wszystkie owe ramki, szkatułki, wazony są dość ordynarne w pojęciu i wykonaniu i zbyt przypominają formy podobnych przedmiotów francuskich, nie posiadając ich elegancji. Na uwagę zasługują technicznie bardzo dobre inkrustacje drzewne Natalji Bobrówny.

Witraż kościelny Ed. Trojanowskiego jest mało dekoracyjny, gdyż bardzo ciemny w kolorach. Ma wyobrażać cud św. Elżbiety, a rzecz się odbywa na tle letniego krajobrazu. Przecież cud ten według legiendy stał się w czasie głębokiej zimy, kiedy mąż tej księżniczki, rozgniewany za jej opiekowanie się ubogimi i bezdomnymi, zerwał z niej płaszcz, w którym niosła pokarmy, a te zamieniły się w rozkwitłe róże. Jasne tony pejzażu zimowego lepiejby kontrastowały z ciemnymi szatami osób na witrażu wyobrażonych. Kilim według pomysłu tegoż artysty wykonany, jest mało interesujący tak w rysunku, jak i w kolorze. Wcale dobry jest projekt na witraż, wyobrażający „Fontannę w ogrodzie Luksemburskim”, gdyż jest jasny w barwach, silny i zharmonizowany. Jest to praca Rzegocińskiego.

Architektoniczne pomysły po raz pierwszy poczynają przedstawiać się interesująco, gdyż wystawiono szereg modeli plastycznych, a z nich niektóre wyrażają nowsze pojęcia.

Naczelne miejsce zajmują prace niedawno zmarłego i utalentowanego architekta Tomasza Pajzderskiego. Są to przeważnie projekty kościołów będących w budowie, a wszystkie utrzymane w charakterze stylu romańskiego. W tymże stylu wystawił projekt kościoła Grochowicz, a w gotyckim Mączeński. Nowsze idejc zaznaczają się w pomyśle elewacji domu dochodowego przez Ebera, w pomyśle domu dla oficerów w Mokotowie przez Przybylskiego i w projektach osady ogrodowej tegoż Przybylskiego i Kalinowskiego.

Nie jest to wiele, ani zbyt zaznaczające się oryginalnością, ale jednak jest to krok naprzód w naszej architekturze.

Nagół piąty salon jesienny reprezentuje przeciętną naszą działalność artystyczną. Nie jest ona ani zbyt wysoka, ani zbyt oryginalna, a jednak jej znaczenie artystyczne, zważywszy na fatalne dla jej rozwoju warunki miejscowe, jest większe, aniżeli tego spodziewać się było można.

W. Trojanowski.

Jak zawsze, tak i w tym roku, znajdują się niezadowoleni, których prace zostały odrzucone. A prac tych jest liczba niemała. Dlaczego więc artyści nie pomyślą o otworzeniu salonu odrzuconych? Wszak tego rodzaju wystawa byłaby ciekawą i miałaby znaczenie pedagogiczne, bo dałaby obraz całkowity twórczości artystycznej i pole do porównań. Materjalnie wystawa salonu odrzuconych opłaciłaby się sowicie, bo zaciekawiona publiczność zwiedzałaby oba salony. Niechże artyści albo Towarzystwo Artystyczne lub Salon Kulikowskiego o tym pomyśli i w czyn wprowadzi.

PAMIĘTAJCIE O WPISACH SZKOLNYCH.

Memorabilja polityczne.

W d. 17 b. m. pierwszy parlament konstytucyjnej Turcji został otwarty w Konstantynopolu i rozpoczął posiedzenia. Szczegóły tej doniosłej uroczystości znane są z gazet codziennych. Biorąc żywy udział w obchodzie, ludność państwa ottomańskiego dowiodła raz jeszcze wielkiego zapału dla wolności, a zachowała przy tym zadziwiający porządek. Parlament zajęty jest dopełnieniem przedwstępnych czynności organizacyjnych i sprawdzeniem mandatów polskich. Wybór prezesa nastąpi dopiero później.

Tymczasem prasa europejska konstatuje zwycięstwo młodoturków na wyborach, i rozbiera pojedyńcze punkty ich programu. Z całej masy przeróżnych sądów o położeniu wewnętrznym w Turcji wnosić można, że właściwe trudności dla rządu młodotureckiego wynikną dopiero teraz, w parlamencie, gdy trzeba będzie załatwić spory powstające, z współzawodnictwa narodowości chrześcijańskich w państwie. Turcy bowiem, zgodnie z tolerancyjnymi zasadami Koranu, chociaż stanowili narodowość panującą, pozostawiali zupełną swobodę Bułgarom, Grekom, Serbom, Albańczykom, Arabom i innym co do urządzania ich domowych stosunków pomiędzy sobą. Korzystali z nienawiści plemiennej i religijnej ludów chrześcijańskich i nawet podsycali ją nieraz w interesie utrzymania swojej przewagi. Gdy bójki zamieniały się w zbyt krwawe mordy, wtedy rząd Abdul-Hamida przywracał spokój za pomocą masowych pogromów.

Normalnym stanem państwa tureckiego była anarchja, poskramiana przez pogromy. W tych warunkach zaprowadzenie pokoju i ładu, za pomocą reform radykalnych, nadać musi większości chrześcijańskiej w Turcji europejskiej przewagę, a zatem może pociągnąć za sobą rozkład państwa skutkiem naporu dążności odśrodkowych. Więc też w programie młodotórków znajdujemy między innymi postulaty o przestrzeganiu polityki narodowej, to jest tureckiej, i o unarodowieniu szkół, mianowicie: wyższych w duchu tureckim. Przy tym zastrzeżenia o utrzymaniu obconarodowych szkół niższych są niewyraźne i nie dość określone. Czy wobec tego, oraz wobec postawienia języka tureckiego jako jedynego języka w Turcji, Grecy, Serbowie i Bułgarzy, mieszkający w prowincjach tureckich, pozwolą, aby ich wynaradawiano mniej lub więcej przymusowo? Co zresztą powie na to egzarchat bułgarski i patryjarchat grecki? Czy zatym gdy tego rodzaju niebezpieczeństwo wyłaniać się zacznie, sami młodoturcy, powodowani uczuciem patryjotyzmu, nie zechcą przez nowy zamach stanu zamienić tyle upragnionego przez nich parlamentaryzmu na jakąś dyktaturę wojskową?

Nadzwyczajne trudności, jakie przy uporządkowaniu zatargów narodowościowych wyniknąć mogą dla teraźniejszego rządu tureckiego, są uważnie śledzone przez sąsiednie państwa bałkańskie. Lubo, przyjazne niby przewrotowi dokonanemu przez młodoturków, państwa te dążą przedewszystkim do możliwego powiększenia dzisiejszych terytorjów przez włączenie prowincji, zamieszkałych przez ludność jednoplemienną. Próba wynarodowienia obcych żywiołów na rzecz jedności tureckiej, byłaby hasłem do rozpoczęcia wojny dla wszystkich państw bałkańskich.

Od szczęśliwego zaś rozwiązania tego problematu zależy przyszłość konstytucyjnej Turcji. Wojna domowa na półwyspie, zmusiłaby bezwarunkowo państwa europejskie do czynnego udziału i do zastąpienia chaosu przez zaprowadzenie pewnej stałej formy rządu. Już w Rewlu ustalono, na wniosek Anglji, zasady takiej szerokiej autonomji dla jedynej prowincji europejskiej państwa ottomańskiego, Macedonji, że, gdyby zostały w życie wprowadzone, Turcy w Europie nie mieliby już co robić.

Jest rzeczą niewątpliwą, że decydujący wpływ na losy konstytucjonalizmu tureckiego w Europie mieć będzie stanowisko, jakie parlament zajmie względem konfliktów narodowościowo-wyznaniowych, z którymi poprzedni rząd despotyczny poradzić sobie nie umiał, lub nie chciał.

* * *

Według ostatnich telegramów z Wiednia, odpowiedź rosyjska na ostatnią notę austryjacką, nie brzmi podobno tak pomyślnie, jak przewidywali optymiści. Nie można wiedzieć ile w tych doniesieniach jest prawdy, lecz w każdym razie pewną jest rzeczą, iż pokój europejski może być zabezpieczony tylko na konferencji ogólnej. Takie więc stanowisko Anglji i reszty państw, oprócz Niemiec, wyłącza możliwość uregulowania aneksji Bośni i Hercogowiny przez oddzielne umowy austryjacko-tureckie.

Ściśle zatym rzeczy biorąc, to samo niebezpieczeństwo sytuacji, które istniało przed dwoma tygodniami, i chwilowo zdawało się zmniejszać, istnieje i dzisiaj, może nawet w stopniu znacznie wyższym.

St. P.

KRONIKA.

— Chełmskie bractwo prawosławne opracowywuje etnograficzną mapę Chełmszczyzny, mającą służyć za argument rzeczowy, przemawiający za jej wyodręb-[illegible]

— Wskutek stagnacji przemysłowej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wzmogła się bardzo powrotna fala emigrantów, pozbawionych [illegible], którzy wydawszy ostatnie zasoby na podróż w obiedwie strony, powracają na zimę na barki rodzin — i z wiosną wzmocnią podaż na rynku pracy.

— Na dorocznej uczcie stronnictwa liberalnego w Anglji minister Asquith, z powodu odrzucenia przez Izbę lordów prawa o sprzedaży alkoholu, oświadczył się za zniesieniem tej Izby, jako nie ponoszącej odpowiedzialności za swoje postępki.

— Socjal-demokratyczny poseł do parlamentu austryjackiego Engelbert Pernersdorfer został wybrany na jednego z wiceprezydentów.

— W dniu 10 b. m. nagrody Nobla rozdano po 192,827 franków: Gabrjelowi Lipmanowi z Paryża w dziale fizyki, Ernestowi Rooterfordowi z Manchesteru w dziale chemji, Eljaszowi Miecznikowowi z Paryża i Pawłowi Erlichowi z Frankfurtu w dziale medycyny oraz Rudolfowi Elkenowi z Jeny w dziale literatury. Nagrodę pokoju Nobla parlament norweski przyznał Duńczykowi Fryderykowi Bergerowi i Szwedowi Arnoldson-Schwenowi.

— Wystawa przemysłowo-spożywcza projektowana jest w Warszawie. Trwać ma 17 dni i otwartą będzie 27 lutego 1909 roku.

— Warszawski gienerał-gubernator Skałłon otrzymał od cesarza austryjackiego wielki krzyż orderu Leopolda. Niezadowoleni z tego deputowani socjalistyczni wnieśli do Parlamentu interpelację.

— W dniu 17 b. m. odbyło się otwarcie parlamentu tureckiego. Pierwszy sekretarz sułtana odczytał mowę tronową, potem sułtan odjechał. Nieporozumienie wywołał fakt, że sułtan nie złożył przysięgi, wobec czego liberalni deputowani również przysięgi odmówili. Zatarg ten załagodzono w ten sposób, że ponieważ sułtan składał już przysięgę przed Ul—Islamem, więc powtórna przysięga została w programie pominięta. Wobec tego deputowani nie składali przysięgi poszczególnie, lecz prezydent według starszeństwa, deputowany Tati, odczytał formułę przysięgi według której „dopóki sułtan dochowa zaprzysiężonej konstytucji, deputowani pozostaną wierni jemu, ojczyźnie, konstytucji i swej misji.

— W dniu 14 b. m. zmarł w Rzymie ambasador rosyjski przy Kwirynale Mikołaj Murawiew, bratanek

znanego u nas b. gienerał-gubernatora Wileńskiego Murawjewa.

— Z Petersburga donoszą, iż stany wojenne we wszystkich miejscowościach państwa mają być zniesione w d. 4 lipca 1909 r.

— Rada lekarska przy ministerjum spraw wewnętrznych zaaprobowała nowy projekt przepisów o cenzurze lekarskiej, opracowany przez głównego inspektora lekarskiego w Petersburgu.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Zuzanna Rabska: „Zanim światła pogasną“. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1909.

— Witold Załęski: „Ze statystyki porównawczej Królestwa Polskiego“. Wydane przez Kasę im. Mianowskiego. Skład u Geb. i Wolffa.

— D-r Michał Żmigrodzki: „Krótki zarys historji sztuki“. Ilustr. Tom I, II i III, wydanie nowe. Warszawa, Wende i S-ka.

— Władysław Grabski: „Ciężary samorządu w Królestwie Polskim“. Warszawa, Wende i S-ka.

— Schultze Naumburg. „Jak urządzić i ozdobić mieszkanie“. Wyd. drugie, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Wilhelm Wundt: „O zagadnieniu kosmologicznym“. Warszawa, Geb. i Wolff.

— Vayhinger: „Prawo rozwoju wyobrażeń o rzeczywistości“. Warszawa, Geb. i Wolff

— A. Döring: „Co to jest myślenie“. Warszawa, Gebethn. i Wolff.

— Siebeck: „Systemy metafizyczne w ich wzajemnym stosunku do doświadczenia“.

— Karol Göring: „Pojęcie doświadczenia i o nadużyciu matematyki w filozofji. Warszawa, Geb. i W.

— Ryszard Avenarius: „W sprawie filozofji naukowej“. Warszawa, Geb. i Wolff.

— Władysława Izdebska: „Trzewiczek królowej“. Warsz. M. Arct

— Marja Glotzówna: „Krótkie opowiadania z życia zwierząt“. Warsz. M. Arct

— Marja Weryho: „W Zimie“. Gebethner i Wolff, Warszawa.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.